

W NUMERZE: REFLEKSJE PO X PLENUM • WIOSENNA ZIMA • PRZEDSI-
NEK CELI? • TABELA TRZEŻWOŚCI DLA KIEROWCÓW • PROGRAM TV

zbliżenia

1989.02.2

5

(469)

TYGODNIK POMORZA • SŁUPSK-KOSZALIN • PISMO PZPR • ROK XI • 35 ZŁ

PL ISSN 138-0745
nr ind. 38 397

Prywatne boje księdza Patalasa

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH, ANDRZEJ RADZIK

Ksiądz Mariana Patalasa, proboszcza parafii Kramarzyny nerwy poniosły na tyle, że skrobnął pismo do partyjnej gazety i to używając takiego słownictwa, za które komuś innemu jak nie wrzuciłby co najmniej trzy „Ojcie Nasz” na pokutę. Byłby wreszcie był porządek z tymi telefonami. Siedem lat łagodnego dopominania się — to trochę za długo. Osobiście interweniował w Bytowie, w Słupsku i Redakcja „Zbliżenia”, lat temu że dwa, również oddała mu łamy, a telefony w Kramarzynie jak nie działały porządkie — tak nie działają. Ani z wizytą po koledze nie idzie się z nikim umówić. Ani po straż pożarną dzwonić, przez co poszły z dymem już dwa gospodarstwa: w Podgórzu i Trzebiatkach. Ani lekarza w razie potrzeby przywołać. A ileż jest pukania i biegania w sprawach weterynaryjnych? W nocy natomiast ma się w domu istny koncert, słuchawkę trzeba odkładać, bo aparat dzwoni natychmiast jak przyglupi ministrant, tyle że sam i bez potrzeby. Ostatnio doszło do tego, że proboszcz osadził osobiście piłę na długim drągu i osobiście obcinał gałęzie wplątane w linię telefoniczną.

No, a weźmy taki budynek poczty. To skandal, żeby raz na 19 lat (a tak długo pracuje w nim i pamięta ostatni remont jego naczelnik — Helena Redlarska) był odnawiany. Sztyt z urzędowym białym orłem zupełnie wyblakł i stracił barwy narodowe, nie mówiąc już o tablicy z godzinami urzędowania.

O tablicę upominał się nie będzie, ludzie wiedzą kiedy poczta pracuje, no ale orzeł, godło państwowe! Różni tu ludzie z Zachodu przyjeżdżają, w pobliżu przecież dewizowe łowiska, i niewykluczone — śmieją się, że nawet o godło narodowe nikt nie potrafi zadbać.

No, a co tacy sobie pomyślą, kiedy wejdą do wnętrza poczty i zerkną na splekane ściany, sufit, co to trzyma się na słowo honoru. Albo te schody do urzędu. Chodź po nich to grać z nieszczęściem. On, ksiądz Patalas, jest co prawda od przysparzania duszyczek Bogu, ale przecież nie na siłę! Więc kiedy remontował swoją

przydrożną figurkę, odzalał trochę poświęconego cementu i osobiście pozaklejał dziury w schodach. Skrzynkę na listy z płotu na mur budynku przeniósł i trwale umocował, bo też wisiała, że miej panie Boże w opiece. Co poniektórzy sarkają, że wtrąca się do spraw ziemskich, nawet mu wypominają mimochodem, że własną ręką wmurował luźne cegły w postawionym niedawno przystanku PKS. A jak mógł przejść obojętnie wobec takiego partactwa, co aż w oczy kił!

Ale są pozytywki z tego wtrącania się. Są!

Nowoczesny gabinet dentystyczny, pełna automatyka — załatwił dla parafii? Załatwił. Ludzi namówił, żeby osiedlali się w Kramarzynie i budowali nowe domy? Namówił! Już piętnaście nowych domów stoi! A jak brakowało czegoś przyzwoitego na pokrycie dachu Urzędu Gminy w Tuchomiu, załatwił? A jakże! Uparł się, że Urząd nie będzie kryty eternitem jak byłe stodoła i porządną blachę załatwił.

Trudno, sarkają to sarkają, on to rozumie. Sam by się wkurzył gdyby mu ktoś w jego parafialne sprawy się wtrącał. Ale poza tym, że jest proboszczem, jest także mieszkańcem Kramarzyny, no i obywateltem przecież. Zresztą, jego kościelne sprawy są w najlepszym porządku. Niedawno osiem lat minęło, kiedy objął probostwo, a już dwa kościoły odnowił, trzeci — w Turowie — wznosił się od podstaw. Wznosić kolejny?

Więc proboszcza energia rozpiesiera i w związku z tą energią strasznie denerwuje go pewna spółdzielcza obora. Właściwie nawet nie spółdzielcza, bo spółdzielni już nie ma, tylko gmina — ale pusta. Jeszcze trochę, a będzie z nią to, co ze spółdzielnią — rozpadnie się. A przecież nadawałaby się na produkcję materiałów budowlanych — czego jak czego, ale piasku w okolicy nie brakuje. Materiały budowlane, czy co innego, w każdym razie powinna zarabiać pieniądze dla gminy a nie marnieć.

c.d. na str. 5



...A gdy już taka kolejka zniknie z miejskiego pejzażu — zgodnie chyba będziemy mogli uznać, że reforma gospodarcza się powiodła. Na razie jednak stać musimy, bo kolejka ustawiała się po skarb nieoceniony — papier toaletowy!!! Co kilka minut ze sklepu papirniczego (połączonego z księgarnią) w Słupsku wychodził kolejny szczęśliwiec z kilkoma rolkami, które — przeliczone na głowę (hm...) mieszkańca — lokują nas ponoć na samym dole europejskiej tabeli. Czy ministrowi Wilczkowi uda się rozwiązać problem sposobem Aleksandra Wielkiego? Bardzo byśmy sobie tego życzyli, bo na razie tylko słychać tłumaczenia, dlaczego nie można szybko osiągnąć poprawy na tym jednym niedużym polu. I to w kraju, który — z powodu chronicznego braku zdolności produkcyjnych — zmuszony jest eksportować makulaturę...

Fot. Jan Maziejuk

Czy latem będzie... lato?

MAGDALENA KARWOWSKA

EPSK 29008/13 9999 75C012 05/04 763,0 1017 — tak brzmi zakodowany meldunek o stanie pogody z godz. 13 18 stycznia br. sporządzony przez Lotnikowe Biuro Meteorologiczne specjalistyczną stację Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Słupsku. Kod zastępuje tasemcowe meldunki sporządzane co godzinę i przekazywane do centrum w Warszawie przez 63 stacje „meteo” i 10 biur lotnikowych w kraju. — Zasadniczym zadaniem tych ośmiu stacji jest meteorologiczna obsługa lotnictwa, dlatego też poza podstawowymi obserwacjami i pomiarami tutaj zbierane są dane o czynnikach warunkujących start, lot i lądowanie samolotów.

Na niewielkiej przestrzeni zgromadzono mnóstwo przyrządów, jeden z nich „rysuje” mapy pogody Europy. Stale zmieniające się

wrotnej na fotokomórkę „oblicza” ich wysokość z dokładnością do 10 m. Pomiary ciśnienia są dla lotnika tak ważne, jak badanie morfologiczne krwi pacjenta dla lekarza, bowiem działanie wysokości przyrządów pokładowych samolotu jest oparte na pomiarach ciśnienia. Nie mniej ważne jest określenie widoczności i kierunku oraz siły wiatru, który potrafi zepchnąć samolot z pasa startowego. Na podstawie danych uzupełnionych przez informację przekazaną przez inne biura, dyżurny informator meteorologiczny, Amelia Różkowska sporządza raport o stanie pogody na lotnisku słupskim, na trasie przelotu, lotnisku docelowym i zapasowym. Zapisy w rubrykach uzupełnia rysowaniem kredkami... chmur, które informują o rodzaju i ilości chmur i towarzyszących im zjawiskach, z jakimi pilot musi liczyć się na swej drodze.

Temperatura na ziemi: 7,5°C, na wysokości 4 tys. m — 9°C, na 5 tys. m — 15°C, tysiąc m wyżej: — 22°C. Br! Trzeba więc liczyć się z tym, że przy niemal wiosennym cieple na ziemi, w górze może nastąpić oblodzenie samolotu.

Taki raport otrzymuje kapitan samolotu — mówi inż. Stanisław Kosiński (20 lat w tej „branży”, w 1976 r. zakładał biuro na słupskim lotnisku). — Ale to on, nie meteorolog, podejmuje decyzję o odbyciu lotu. Zdarzało się więc, że nam skóra ciepła, gdy samolot wzbijał się w górę...

Zagłębiamy jeszcze do położonego nieopodal ogródka meteorologicznego, typowego dla wszystkich stacji. Na powierzchni kilkudziesięciu m kw. zgromadzone podstawowe przyrządy: termometry do mierzenia temperatury przy gruncie, w klatce umieszczonej na wysokości 2 m nad ziemią (faktycznie przypominającej gołębnik!) również znajdują się dwa termometry, z których jeden pozwala odczytać wilgotność powietrza. Jako ciekawostkę wypada dodać, że różnica temperatur na poziomie dwóch metrów może wynosić 12°C! — Wiatraczek przypominający śmigło samolotu, umieszczony na znacznej wysokości, za pomocą przewodów na wskaźnikach w biurze pozwala odczytać prędkość, kierunek i porę wiatru.

Z danych gromadzonych w Lotnikowym Biurze „Meteo” korzystają także inni: budowlani chcą wiedzieć, czy przy silnym wietrze można wejść na rusztowanie, ZEC — czy dosypać koks do kotłów co, służby drogowe interesuje temperatura przy gruncie, bo przy dodatniej na zakiennym termometrze na jezdniach może być lód!

Służba meteorologiczna w Polsce obchodzi w tym roku 70-lecie swej działalności. W Słupsku Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej rozpoczął pracę 22 listopada 1945 r. I kiedy jego dyrektor, dr Henryk Balicki pokpiwa, że w obu monografiach Ziemi Słupskiej

odnotowano powstanie pierwszej spółdzielni, szewców i kamaszników, spółdzielni „Loton”, szkół zakładów pracy w Słupsku, nie poświęcono natomiast najmniejszej wzmianki o powołaniu do życia, jak by nie było, placówki naukowo-badawczej, wyczuwam w jego głosie nutkę szczerego o to żalu do autorów tych opracowań. — No cóż

nie wytwarzamy dóbr materialnych

dających przeliczyć się na sztuki i złotówki dochodu — mówi. — Wykonujemy przecież jednak pracę, która w całości służy gospodarce narodowej.

O tym, że to IMiGW informuje nas codziennie o czekającej nas następnego dnia aurze (meteorologzy twierdzą, że pogoda jest zawsze) wiedzą wszyscy. — Ktoś przecież musi być odpowiedzialny za deszczowe lato. Stacje meteo (w obrębie działania instytutu słupskiego, obejmującego w części lub w całości 10 województw i powierzchnię 41 tys. m kw., jest ich pięć) co godzinę robią pomiary wszystkich elementów pogodotwórczych: temperatury, powietrza i gruntu, wielkości opadu, wilgotności, prędkości i kierunku wiatru, rodzaju i podstawy chmur.

c.d. na str. 9

zielone cyferki na ekranie

wiatromierza informują o prędkości, kierunku i porywach wiatru, od kilku dni niezmiennie silnego, dochodzącego do 20 m na sek. Po naciśnięciu guziczka w światłolokatorze, w dwóch skrzynkach umieszczonych na zewnątrz otwierają się pokrywy: wiązka promieni świetlnych wypuszczona w przestworze odbija się od podstawy chmur, a trafiając w drodze po-

FOTO

zblżenia

Koszalin



Kończy się kampania sprawozdawcza w PZPR. W zebraniu sprawozdawczym POP w koszańskim Zakładzie Techniki Próżniowej „Tepro” uczestniczył członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR Stanisław Ciosek, który jest członkiem tej organizacji. O przebiegu zebrania piszemy na str. 4



Wielką i pożyteczną akcją pod nazwą „Prezent dla dziecka” organizuje od wielu lat Redakcja „Głosu Pomorza” z okazji święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku. W tym roku prezenty otrzymało ponad 300 dzieci z rodzin wielodzietnych i nisko uposażonych.



W szkołach zakończył się pierwszy semestr nauki. Nim jednak dzieci udały się na zasłużone ferie — były podsumowania wyników nauki. Na zdjęciu: apel w szkole podstawowej nr 11 w Koszalinie i porównanie wyników nauczania wśród najmłodszych.



Do matury zostało tylko 100 dni. Tradycja każe, by początek pożegnania ze szkołą był radosny. Temu właśnie służy „studniówka”. Na wesołych zabawach łączy nie tylko przyszli maturzyści ale i „ciało pedagogiczne”. Na zdjęciu: w pierwszych parach poloneza nauczyciele Zespołu Szkół Elektronicznych w Koszalinie. Od lewej: Maria Prusak, Bronisław Bratkowski (dyrektor), Jadwiga Szarek i Zbigniew Siudy.



Uczniowie Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Kolo-brzeu otrzymali świeżo wyremontowany internat na 46 miejsc. Dla wielu uczniów skończyła się wreszcie męcząca dojazd.

Fot. KRZYSZTOF SOKOŁÓW I JERZY SZYCH

ZE ŚWIATA

NA SWEJ pierwszej konferencji prasowej w charakterze sekretarza prasowego nowego prezydenta USA George Busha Martin Fitzwater odczytał w jego imieniu oświadczenie poruszające m.in. kwestie polskie. „Witamy zapowiedź rokowań między rządem polskim i kierownictwem „Solidarności”. Od dawna uważamy, że reforma gospodarcza i postęp mogą być osiągnięte tylko przez proces dialogu i narodowego pojednania. Jeżeli rokowania przeprowadzone zostaną w dobrej wierze, zawierają one w sobie potencjał wejścia Polski na drogę odbudowy i wzmożonej roli w polityce międzynarodowej. Postęp w kierunku pojednania narodowego może mieć znaczny pozytywny wpływ na stosunki USA — Polska. (...) Będziemy w dalszym ciągu obserwować cały proces wydarzeń”.

Ważnym wydarzeniem w życiu politycznym na Węgrzech było uchwalenie na styczniowej sesji parlamentu dwóch ustaw o stowarzyszeniach i zgromadzeniach. Obecnie Komitet Centralny WSPR zobowiązał się rozpatrzyć w pierwszym kwartale tego roku i zapowiedział podjęcie inicjatywy

w sprawie wniesienia pod obrady parlamentu projektu ustawy o partiach politycznych.

RFN oczekuje, że kilkanaście państw zachodnioeuropejskich wspólnoty uroczyste i w formie międzynarodowo-prawnej uzna zjednoczenie Niemiec za nieodłączny cel procesu integracyjnego Europy Zachodniej. Pod naciskiem skrajnie konserwatywnego skrzydła chadecji, którego eksperci szli w swych zdaniach jeszcze dalej, frakcja parlamentu CDU/CSU oraz frakcja parlamentarna FDP przedłożyły podczas „debaty europejskiej” wspólny wniosek o konstytucyjny postulat zjednoczenia Niemiec, stwierdzając, że „bez przeprowadzenia niemieckiego podziału niemożliwe będzie również przeprowadzenie podziału Europy i odwrotnie”. Następnie postulują aby w trakcie przygotowań do utworzenia unii europejskiej, jako uzupełnienie postępującej integracji gospodarczej, „rządy państw wspólnoty europejskiej, instytucje gospodarcze, instytucje wspólnoty i Parlament Europejski uwzględniły jako wspólny cel przeprowadzenie podziału Niemiec i Europy”.

NA WĘGRZACH powstała Demokratyczna Liga Niezależnych Związków Zawodowych. Jej założycielami są trzy spośród czterech organizacji związkowych, które działają od kilku miesięcy poza strukturami Krajowej Rady Związków Zawodowych. Liga określiła się jako niezależna od partii, nadzór nad centralą i powstała powołana — jak pisze rządowy dziennik „Magyar Hirlap” — w duchu solidarności związkowej.

W PARLAMENCIE szwedzki liberalny deputowany, który proponuje zamianę polskich długów na inwestycje dokonywane przez polski rząd w dziedzinie ochrony środowiska zwłaszcza Baltyku. Rząd szwedzki od dawna popiera ideę zamiany długów na tego rodzaju przedsięwzięcia — stwierdziła socjaldemokratyczna minister ochrony środowiska, Brigitta Dahl.

JESZCZE nie przebrzmiały echa tragedii w Armenii a już mniej więcej 2200 km na wschód od Leninakanu, w gissarskim rejonie Tadżykistanu 22 stycznia zatrzęsa się ziemia. Siła wstrząsów w epi-

centrum była niższa niż w Armenii — wyniosła tylko 7 stopni. Wystarczyła jednak aby rozkopać w wyniku opadów mokrego śniegu i deszczu wysokie wzniesienie spadło się na dwie części grzebiąc pod milionami ton błota ludzkie siedziby. Ocenia się, że zginęło kilkaset osób.

KARDYNAŁ A. Casaroli w odpowiedzi na pytanie dotyczące perspektyw spotkania Jana Pawła II z Michailem Gorbaczowem podczas jego planowanej wizyty we Włoszech, odparł: „Jesteśmy zawsze gotowi czekać na niego. Papież jest zawsze gotowy przyjąć radzieckiego przywódcę. Mogę powiedzieć więcej, wizyta w Watykanie dojdzie do skutku i zapoczątkuje zwrot w stosunkach Stolicy Apostolskiej z ZSRR”.

POD nazwą „Pax Tourist” powstało na Węgrzech pierwsze samodzielne kościelne biuro podróży. Będzie ono organizować grupowe zwiedzanie głównego ośrodka Pannonhalma, będącego siedzibą benedyktynów. Zakon ten ponownie przejął administrację nad wszystkimi swoimi dawnymi siedzibami, które w większości są obiektami zabytkowymi.

Z KRAJU

CZŁONKOWIE kierownictwa partii — Biura Politycznego i Sekretariatu KC, odbyli serię spotkań z robotnikami zalogami w wielu miejscowościach kraju. Spotkania i związane z nimi bezpośrednie rozmowy dotyczyły przede wszystkim treści zawartych w dokumentach X Plenum KC PZPR oraz szczególnie istotnych problemów społecznych, gospodarczych i politycznych kraju.

KRAJOWA Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” ogłosiła oświadczenie, w którym traktuje uchwałę Plenum KC PZPR o przywrócenie pluralizmu związkowego i legalizacji NSZZ „Solidarność” jako zasadniczy krok w kierunku dialogu społecznego. „Oczekujemy — podaje oświadczenie, że w ślad za tą uchwałą podjęte zostaną odpowiednie decyzje organów państwowych. Stwierdzamy, że powstała możliwość negocjacji dotyczących „Solidarności” oraz spraw kraju. O programie, składzie władz i strukturze organizacyjnej „Solidarności” zdecydowały w sposób demokratyczny jej członkowie. Oczekujemy, że wszystkie strony występujące na scenie publicznej będą dobro kraju stawiać ponad wszelkie interesy partykularne. Konie-

czne jest takie skorygowanie przepisów prawnych aby było możliwe rozwiązywanie sytuacji konfliktowych w sposób legalny i polubowny”.

KOMISJA Wspólna Przedstawicieli Rządu i Episkopatu na swym 44 posiedzeniu w dniu 23 stycznia wymieniła poglądy na temat dokonujących się obecnie w kraju przemian społeczno-politycznych i możliwości rozwiązań służących dobru kraju i konsolidacji narodu. Komisja omówiła stan prac legislacyjnych przygotowujących pełne uregulowanie stosunków między Państwem i Kościołem katolickim. Rozpatrzone także projekt ustawy o ubezpieczeniu społecznym duchownych. Trzecim rozpatrzonym dokumentem był projekt umowy w sprawie statusu prawnego uczelni papieskich w Polsce.

W GDAŃSKU powstała Spółka Akcyjna „Międzynarodowe Targi Gdańskie”. Utworzyli ją prezydent Gdańska, „Morskie Domy Handlowe”, „Handlomor” i „Modem”. Zadaniem spółki jest organizacja targów, wystaw międzynarodowych i konferencji. Oprócz odbywających się już w Gdańsku targów „Baltexpo”, „Baltcom” i „Marketing” władze miasta roz-

ważają możliwość organizacji międzynarodowych targów rybnych oraz targów krajów nadbałtyckich.

PREZYDIUM Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL opublikowało oświadczenie, w którym protestuje przeciwko proponowanej, wysokiej podwyżce cen prasy. Prezydium uważa, że obecne ceny prasy w Polsce są jednymi z najwyższych w świecie w stosunku do średniej płacy, co powoduje ograniczenie dostępu społeczeństwa do informacji.

POWSTAJE pierwsza na terytorium naszego kraju spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z udziałem kapitału zagranicznego joint venture pod nazwą Polska Telewizja Kablowa, której udziałowcami poza Władysławem R. Siskursem, obywatel USA zamieszkałym w Kalifornii, ze strony polskiej są: PP Poczta Telegraf, Telefon, Polska Radio i Telewizja, prezydenci miasta stołecznego Warszawy i Krakowa oraz Fundacja Wspierania Inicjatyw Gospodarczych. Przedmiotem działania spółki będzie budowa i eksploatacja systemów kablowych służących do przesyłania obrazu telewizyjnego do mieszkań, począ-

kowo w Warszawie i Krakowie. Poza dwoma programami polskiej TV abonenci będą mogli oglądać trzy programy zagranicznych sieci.

POWSTAŁ projekt utworzenia funduszu gazyfikacji i telefonizacji wsi. Zakłada on, że do 2000 roku liczba odbiorców gazu na wsi powinna wzrosnąć o pół miliona, czyli już w latach 1991—95 czterokrotnie, zaś liczba abonentów telefonicznych o 300 tysięcy. Koszt realizacji programu określa się na około 750 mld zł w cenach tegorocznych a także wiele tysięcy dolarów.

WOJEWÓDZTWO gdańskie zdecydowanie wyprowadzi inne w kraju pod względem rozwoju budownictwa jednorodzinne. W ub. roku powstały tu domki dla prawie 2,6 tys. rodzin. W dwóch ostatnich latach rozpoczęto budowę ponad 10 tys. domków.

W TORUNIU powstaje pierwsza w kraju szkoła menedżerów handlowych. Inicjatywa należy do miejscowego Zespołu Szkół Ekonomicznych. We wrześniu br. uruchomiona zostanie w nim pierwsza 30-osobowa klasa nowego technikum dla wybijających się absolwentów Zasadniczej Szkoły Handlowej, kształcąca przyszłych kierowników sklepów oraz instruktorów praktycznej nauki zawodu.

Z REGIONU

W ŚLĄSKU i Koszalinie obchodzili wojewódzkie Zjazdy Stronnictwa Demokratycznego. Oceniono dorobek minionej kadencji. W dyskusji skupiano się na roli członków Stronnictwa w procesie przemian zachodzących w kraju. Wyloniono nowe władze. W Ślasku kierowanie wojewódzką organizacją Stronnictwa powierzono ponownie Jerzemu Mazurkiewiczowi, w Koszalinie — przewodniczącym WK SD wybrano Andrzeja Kaczmarka.

W KOSZALINIE odbyło się posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Współdziałania PZPR, ZSL i SD z udziałem przedstawicieli organizacji katolickich świeckich. W obradach uczestniczyli także: przewodniczący WRN i wojewoda koszański. Sekretarz KW PZPR, Eugeniusz Jakubaszek poinformował o przebiegu i treści obrad X Plenum oraz wynikających z nich zadaniach dla wojewódzkiej organizacji partyjnej. Przedstawiono także założenia i cele przebudowy struktur Komitetu Centralnego PZPR i realizacji koszańskiego eksperymentu partyjnego. Uczestnicy spotkania poinformowali się o aktualnych poczynaniach stronnictw politycznych i organizacji, omówili warunki i zasady współdziałania dotyczące społecznych i gospodarczych problemów województwa.

POGODA sprzyja budowlanym, a jednak w budownictwie śluskim jakby martwy sezon. W pogoni za wykonaniem ubiegłorocznego planu przedsiębiorstwa budowlane nie zostawiły sobie obiektów, które mogłyby złożyć się na tzw. zimowy front. Przygotowanych do robót zimą jest zaledwie 200 lokali. Utrudniają też pracę dokuczliwe braki w zaopatrzeniu. Ślusk „Insbud” odczuwa niedostatek materiałów instalacyjnych, pozostali zaś, materiałów wykończeniowych. Skończyły się wydobycia centralnego rozdzielnika, zapanował wolny obrót materiałami, których przez to nie

przybyło. Według wstępnych przysięg w bieżącym roku budowlani mają przekazać lokatorom 2160 mieszkań, a więc o ponad setkę mniej, niż w roku ubiegłym.

W KOSZALIŃSKIM oddano do użytku w minionym roku 3327 mieszkań, a więc o 7,9 proc. więcej niż w roku ubiegłym. 2559 mieszkań przybyło w budownictwie ugrupowanym, natomiast 768 w indywidualnym. Budowlani przekazali także 64 pomieszczenia do nauczania w szkołach podstawowych, 14 gabinetów w przychodniach lekarskich oraz żłobek. Powiększyła się również o 6192 metry kw. powierzchnia w pawilonach handlowych i usługowych.

PREZYDIUM WK ZSL w Ślasku zajęło się na swym posiedzeniu oceną „Planu ważniejszych zamierzeń w rolnictwie woj. ślaskiego na 1989 rok”. Za priorytetowe Prezydium uznało rozwój hodowli bydła i wzrost produkcji mleka, poprawę wykorzystania użytków zielonych, stwarzania warunków do rozwoju przetwórstwa ryb morskich, owoców jagodowych, mięsa i mleka. Podkreślono, że integralną częścią omawianego planu powinny być poczynania władz wojewódzkich oraz instytucji obsługi rolnictwa w zakresie poszerzenia bazy socjalnej i kulturalno-oświatowej wsi, telefonicznej i gazyfikacji oraz poprawa zaopatrzenia handlu wiejskiego w sprzęt gospodarstwa domowego.

DUŻY ruch w punktach skupu zwierząt rzeźnych. W ub. roku w obu województwach skupiono 106,5 tys. ton żywa wieprzowiny czyli o 3,9 proc. więcej aniżeli w roku 1987. W Koszalińskim przyrost ten wyniósł 1,9 proc., w Ślasku o 6,9 proc. Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Mięsnego w Koszalinie nie było w stanie przetworzyć tej masy mięsa, część wysyłała do sąsiednich województw. Mniej było natomiast dostawy bydła rzeźnego.

Przemysł mięsny kupił tylko 33,6 tys. ton a więc o 14,5 proc. mniej niż rok przedtem: w Koszalińskim dostawy wynosiły nieco ponad 18 tys. ton, co stanowiło 80,8 proc. zadań skupu, w Ślasku 15,5 tys. ton czyli 91,9 proc. planu. W sumie, ze skupionego żywa użyłskano prawie 101,2 tys. ton czystego mięsa, to jest o pół proc. mniej niż w roku poprzednim. Te pół procent stanowi aż 500 ton mięsa. Przez dwie pierwsze dekady br. do zakładów mięsnych w obu województwach trafiło 5,7 tys. ton żywa wieprzowego, to jest 112 proc. tego, co w tym samym okresie ub. roku i 1,8 tys. ton żywa wołowego, zatem 22 proc. więcej. Specjaliści przypuszczają, że trend jest krótkotrwały. Wielu rolników przetrzymywało żywca do nowego roku licząc na wyższe ceny. Obserwuje się malejącą popyt na prosiąt na targowiskach. Ich ceny znacznie spadły. Ten nadmiar prosiąt na rynku przy braku pasz w geesach nie wróży hodowli nic dobrego.

ROZPOCZĘŁY się zimowe ferie młodzieży szkolnej. W tym roku w Ślasku akcją zimowego wypoczynku objęto prawie 35 tys. uczniów, a więc jedną trzecią uczących się. Najlicniejsza grupa, około 25 tys. dzieci korzysta jedynie z małych form wypoczynku w szkołach, świetlicach i klubach. Tylko półtora tysiąca dzieci ruszy w kraj, przeważnie w góry — na zimowiska.

LAUREATEM jednej z dwunastu równorzędnych nagród — „Mikro Laurów” na IV Międzynarodowych Targach „Komputer-89”, które odbyły się w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki z udziałem 172 wystawców, w tym 47 firm z 15 krajów przede wszystkim zachodnich — została pracownia informatyczna ślaskiego „Inwestprojektu”. „Mikro Laur” otrzymali słupczanie za informatyczny program — „Kadry”. Jak podkreślono w werdykcie, jury wzięło pod uwagę oryginalność

rozwiązania informatycznego, zwłaszcza język programu i sposób komunikacji z użytkownikiem. System ten może mieć zastosowanie w zakładach liczących nawet do dziesięciu tysięcy pracowników. Kierownikiem pracowni informatycznej ślaskiego „Inwestprojektu” jest mgr inż. Witold Biliński.

PO WIELE interwencji mieszkańców kwestionujących zasady naliczania opłat za wodę od metrażu mieszkań a nie od liczby lokatorów Ślaska Spółdzielnia Mieszkaniowa „Czyn” przygotowała nowe, wariantowe zasady, które przedłożyć zamierza jeszcze w br. swemu walnemu zgromadzeniu. Niezależnie od tego, w budowanych dla spółdzielni nowych domach przy końcu alei 3 Maja oraz Wiatracznicy i Rejtana, po raz pierwszy w Ślasku montowane będą indywidualne wodomierze oraz automatyzowane węzły cieplne z licznikami do pomiaru energii cieplnej dostarczanej do ogrzania budynku.

W RYWAŁIZACJI wszystkich hufców stacjonarnych działających w woj. koszańskim pierwsze miejsce i tytuł „Przodującego Hufca” zdobyli ponownie junacy z jednostki przy Komunalnym Przedsiębiorstwie Budownictwa Specjalnego w Szczecinku.

OD 1 lutego działa w Koszalinie nowe przedszkole, usytuowane w centrum miasta przy ul. Niepodległości. Dysponuje 120 miejscami w czterech grupach wiekowych.

MUSICAL według znanej książki „Lato Muminków” w adaptacji Andrzeja Marii Marczewskiego i w swojej własnej reżyserii zapropował dzieciom dyrektor artystyczny Ślaskiego Teatru Dramatycznego, Marek Gliński. Muzyczną formę nadają spektaklowi piosenki autorstwa Tadeusza Woźniaka i Andrzeja Chorażuka. Nie spodzianką jest udział małych aktorów — dzieci z zespołu wokalm-tanecznego „Wesołe nutki” ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Ślasku.

I co dalej ?

Nie jest w dobrym guście cytowanie siebie samego, ale czasami praktyczne. W sierpniu 1982 roku, a więc w pierwszym okresie stanu wojennego, w tym samym miejscu gazety co dzisiaj, w publikacji opatrzonej tytułem „Wojsko do koszar?” zaryzykowałem prognozę biegu zdarzeń. Powód dala wypowiedź Wojciecha Jaruzelskiego o możliwości zawieszenia stanu wojennego. Prognoza była pesymistyczna, przez co poniektóre akapity sponiewierała cenzura, bieg wydarzeń pokazał mimo to, że traktowałem przyszłość nazbyt optymistycznie.

Pisałem wówczas: „...kiedy ogłoszono stan wojenny, cele wojskowych jawiły mi się daleko skromniejszymi niż obecnie. Sądziałem, że rola żołnierzy zakończy się spacyfikowaniem ekstremy z prawa i lewa, spacyfikowaniem sil antysocjalistycznych, by po wyeliminowaniu rozpalonych nastrojów odrząbać powrót do koszar i w nich stanąć w pogotowiu z hasłem: prowadźcie nadal tę odnowę ale bez atmosfery szaleństwa, zamachów na przynajmniej, itp. gdyż inaczej znowu wystawimy kokoszniki na ulice...”

Pisałem także: „Historia dowodzi, że powrót wojska do koszar jest zawsze trudniejszy niż jego wyprowadzenie. Mowa oczywiście o powrocie „po zwycięstwie”, bo inaczej po cóż było jeść tę zabę. A więc o powrocie po zrealizowaniu zadań. Otóż w miarę upływu czasu wachlarz tych zadań rozszerza się w postępie, niemalże geometrycznym: trudno bowiem uwolnić wojskowych od moralnej odpowiedzialności za fakty, które nastąpiły podczas ich rządów, nawet jeżeli logika wskazuje, że nastąpić mogły niezależnie od tego kto pełniłby władzę...”

No cóż, wojsko rozpoczęło odwrót do koszar dopiero w rok później, ale stan wojenny w tym charakterze, jakim go widziałem owe siedem lat temu, zakończył się dopiero z chwilą X Plenum. Dopiero ono przyniosło zwycięstwo nad pewną szkołą sprawowania władzy i myślenia o aspiracjach Polaków, szkołą którą skompromitował ostatecznie Sierpień 1980 r. Nie jest to jeszcze całkowite zwycięstwo, jej epigoni wciąż jeszcze są wpływowi, widać to w niektórych sformulowaniach uchwały.

W wielu swoich postanowieniach uchwała X Plenum jest wyciążeniem politycznych wniosków z konstatacji, że z chwilą Sierpnia przeżył się ostatecznie

pewien etap socjalizmu. Mam wrażenie, że wówczas w sierpniu, niewielu ludzi z kręgów wysokiej władzy dostatecznie sobie ten fakt uprzytomniało. Gdyby było ich więcej, nie byłoby wymuszania reform systemu przez buntowniczy nacisk dołów, nie byłoby zacieklej obrony „pryncypiów”, które i tak padły, nie powstałby w rezultacie taki stan histerycznego napięcia po obu stronach, w którym najchętniej akceptowaną postawą był ekstremizm, a taktyką — jak najwięcej i byle prędko; nie byłoby po jednej stronie takiego nadmiaru ostrożności i przeceniania uwarunkowań międzynarodowych, a po drugiej — niedoceniania albo wręcz skrajnego ich lekceważenia. Kto wie, może nie byłoby stanu wojennego ani mizerny programowej, jaką stał się X Zjazd przeciw cofający się w wielu sformulowaniach od radykalizmu zjazdu dziewiętego.

Pod pewnymi względami zaczynamy odnowę od nowa. Oby tym razem się powiedziało, oby jej kamienie milowe wyznaczało wzajemne zaufanie, wzajemne uczenie się od siebie — uszanowanie tego, że ci, którzy myślą inaczej wcale nie są gorszymi Polakami. Jesteśmy wszak skazani na współegzystencję. Przepraszam — słowo „skazani” traci przymus.

Powiedzmy więc, Polacy, niezależnie w jakich kolorach myślimy, jesteśmy sobie potrzebni — nawzajem. W swojej najistotniejszej warstwie Uchwała jest niczym innym jak uznaniem stanu, do którego doszło społeczeństwo w swych staraniach o podmiotowość. Z chwilą przejścia kierownictwa rządu przez Mieczysława Rakowskiego tamy pęsnęły w gospodarce. W sferze światopoglądowej też partia oddaje pole tam, gdzie go w rzeczywistości nie miała. Pluralizm jest praktycznie od dawna wpisany w polski pejzaż polityczny. A jednak nawet samo uznanie tego stanu tworzy nową jakość polityczną i ciekawe implikacje, o ile nie pozostanie ono na papierze, lub nie stanie się kartą do doraźnych taktycznych rozgrywek. Zwłaszcza w kwestii najważniejszej — pluralizmu — otwiera się partia na nowe rozwiązania prawne, wpisując opozycję w życie społeczno-polityczne jako trwały, ustrojowy i konstruktywny czynnik.

Przy wszystkich zaletach Uchwały jest wyjątkowo ostrożna. W najważniejszych kwestiach tkwi jakiś pierwiastek asekuracji, jakiś powiew dawnego sposobu myślenia, jakaś chęć zapewnienia

sobie ewentualności odwrotu. Nie sądzę, by brało się to z samej tylko obawy przed nawrotem sytuacji sprzed stanu wojennego, a przynajmniej nie tylko. Myślę, że daje w niej znać o sobie przeświadczenie części kierownictwa, że społeczne żądanie pluralizmu zmaleje, a może nawet zniknie, z chwilą uporządkowania problemów gospodarki, ocenianych przez zasobność sklepowych półek i portfeli. Jeśli tak, obawiam się, że pogląd ten przyniesie takie samo mnóstwo jałowych poczyniń i taką samą stratę czasu, jak wszelkie próby zneutralizowania opozycyjnych nastrojów.

Nie będzie postępów w gospodarce, a jeśli — to na tyle wolne, że nie ważące na postawach politycznych, jeżeli przedsiębiorstw nie opuści polityka. A polityka będzie w nich tkwić — mimo wszelkich prawnych obwarowań, którymi z pewnością obłoży się powstająca „Solidarność”. Będzie — jeżeli dla pluralizmu nie znajdzie się innych płaszczyzn działania niż związek. Gospodarka nie będzie sprawnie się rozwijać tak długo, jak ludzie pracy będą manifestować swój polityczny stosunek do rzeczywistości stosunkiem do wykonywanej pracy.

W tym miejscu pojawia się nowe pytanie. Czy zróżnicowanie i aktywność polityczna Polaków jest w stanie niebezpiecznym jedynie w PZPR, dwóch stronnictwach i dwóch stowarzyszeniach katolickich — „Pax” i Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Społecznym — jeżeli „Solidarność”, jak to się zamyśla, ma pozostać wyłącznie ruchem zawodowym? Jak liczyć grup Polaków swych poglądów politycznych realizować oficjalnie nie jest w stanie z braku właściwej, płaszczyzny, organizacji? Wydaje mi się, że duża, może nawet bardzo duża. Wykorzystują więc platformy zastępcze, gromadząc się wokół Kościoła lub też ufając bezkrytycznie, że „Solidarność” wszystkiemu jest w stanie poddać. Bez możliwości dania ujścia swym politycznym ambicjom wpędzą znowu ruch związkowy na pole walki politycznej, szarpiąc go to w jedną, to w drugą stronę i różnicując w miarę coraz precyzyjniejszego formułowania swych odrębnych grupowych celów. A to grozi wyeliminowaniem ruchu nawet spod kontroli przywódców, nawet jeśli uczciwie będą zamierzali przestrzegać prawa. A więc grozi chaosem. Kto sądzi, że zróżnicowanie polityczne Polaków wystarczająco skandalizuje ruch stowarzyszeniowy, myśli już dniem wczorajszym. Proces organizacyjny określania się sił poli-

tycznych trwa. Jest półlegalna, bo choć nie istniejąca w sensie prawnym, to przecież jakby tolerowana partia polskich „zielonych”. Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne jest już legalną Unią Chrześcijańsko-Społeczną, może jeszcze nie partią, ale z pewnością już nie stowarzyszeniem, słyszy się o próbach reaktywowania — Stronnictwa Pracy, które działało jeszcze w pierwszych latach powojennych, dopóki stalinizm nie wytrzebił jego działaczy...

W dyskusji na plenarnym posiedzeniu pojawiły się głosy sugerujące zgodę na utworzenie opozycyjnej partii politycznej — co argumentowano — stworzyłoby warunki do eliminowania walki politycznej ze sfery gospodarki, przenosząc ją na forum Sejmu, rad narodowych — ale głosy nieśmiałe, jakby niedosłyszane. Węgrzy już to rozumieli.

Odnoszę wrażenie, że uchwała zbyt małą wagę przykładła do czynnika, który już wazy, a z latami coraz jaskrawiej będzie rysował się na polskiej panoramie politycznej. Jest nim młodzież! Zaczyna artykułować swe żądania pokolenia, dla którego sporej części i Lech Wałęsa jest konserwatywnym wapniakiem. Nie jest pewne czy oczekiwania młodych są właściwie odczytywane, skoro wciąż tłumaczy się je wyłącznie na język pojęć takich jak mieszkanie, satysfakcjonująca praca, szansa zawodowego awansu. Czy rzeczywiście chcą tylko tego? Treść spotkania sekretarza KC, Leszka Millera, z młodzieżą świadczy, że obie strony nie bardzo rozumieją i mówią swoje jakby na różnych falach. A już na pewno starsi nie rozumieją czego naprawdę chce młodzież, choć potrafią się pryncypialnie oburzać kiedy słyszą czego nie chce!

Jest to pokolenie lepiej wykształcone i to nie na ideologii lecz na prozie życia, pełne polki w sklepach zna z blaskających wspomnień rodziców, za to nieźle — sklepy „Pewexu”. I szuka w życiu niefideli, dla których pracowali jeszcze rodzice, lecz sensu i pożytków z pracy. Młodych się nie kupi obietnicami i nadziejami, przypomnieniem, że to partia w swej historycznej misji podniosła kraj z gruzów, dała ziemię fernalom, wzniosła Nową Hutę, skoro dla nich nic z tego nie wynika. Widzę natomiast co z tego wynika dla emerytury ich dziadków, którzy ten kraj wznosili z gruzów, dzielili ziemię i budowali fabryki.

Co by jednak nie mówić, uchwała jest i może stanowić sensowny początek budowy nowej rzeczywistości, bardziej przylegającej do aspiracji Polaków. Ale nawet jeśli wszystkie strony potraktują ją uczciwie, nieprędko się tej nowej rzeczywistości doczekamy.

ANDRZEJ RADZIK

krajach, na przykład ciekawy pomysł wykorzystania masy roślinnej jako surowca energetycznego. Wszyscy jednak kładli nacisk na konieczność racjonalnego użytkowania energii i wprowadzenia maksymalnej oszczędności. Przy tym zawsze należy pamiętać, że najdroższą energią jest energia nie dostarczona, czyli ta, której zabrakło do produkcji poszukiwanych dóbr.

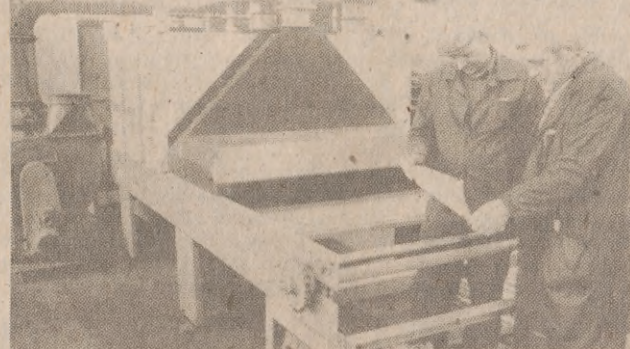
Nieoficjalnymi współorganizatorami spotkania były Gdański Klub Ekologiczny „Eko” i Franciszkański Ruch Ekologiczny. Liczba ruchów i organizacji działających pod szyldem walki o ochronę środowiska ciągle wzrasta. Można mieć wątpliwość, czy faktycznie wszystkie są potrzebne. W każdym razie powinny się one angażować także w tego typu spotkania, które nie są tylko formą protestu, ale także szukaniem odpowiedzi na różne istotne pytania. Dobrze byłoby, gdyby darłowianie zainteresowali się tym cyklem sesji, a może i zaczęli organizować podobne. Kto chce się wypowiadać i decydować w sprawach energetyki i ekologii, powinien dowiedzieć się jak najwięcej o obu dziedzinach, dziś już nierozdzielnych ze sobą związanych. Pewne jest, że nawet najlepszy program ochrony środowiska nie rozwiąże problemów energetycznych. Przeciwnie — bez ich rozwiązania opracowanie takiego programu w ogóle nie będzie możliwe!

JOANNA JARZĄBEK

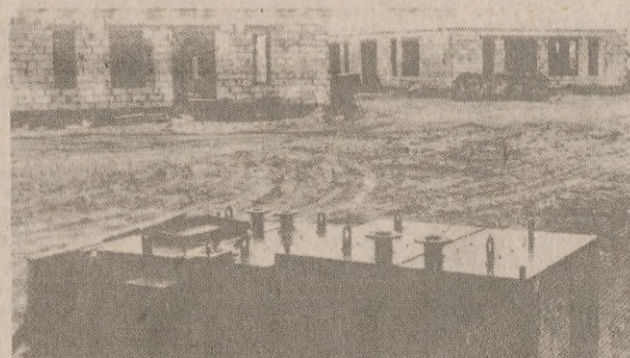
FOTO zbliżenia Słupsk



W minionym tygodniu podsumowano wyniki pracy w „Ruchu”, a więc w firmie, która decyduje o tym, jak prasa dociera do czytelnika. Wśród sprzedawców z kiosków w większych miastach Pomorza Środkowego pierwsze miejsce zdobyła Zofia Wróbel ze Słupska (na zdjęciu-pośrodku), w tej samej kategorii II miejsce zajęła Rozalia Goss (po prawej) — również ze Słupska, a w kategorii wiejskich placówek „Ruchu” Stefania Mulik z Kobylnicy (po lewej). W kategorii miast średnich i małych pierwsze miejsce przyznano Barbarze Słupińskiej z Darłowa



Pustki w sklepach meblowych, kolejki przy każdorazowych dostawach towaru nie nastrajają optymistycznie. Jednakże wynalazcy i racjonalizatorzy z Fabryki Akcesoriów Meblowych — zakład w Kępce pod Kępami wierzą, że ich nowa linia do lakierowania elementów meblowych, z rewelacyjnym suszeniem powłok, przyczyni się w jakiejś mierze do poprawy sytuacji. Przy prototypie — Marcin Trzeciński (po lewej) brygadziści monter, 26 lat pracy i Bolesław Szarejko, mistrz oddziału, 30 lat pracy w tym samym zakładzie.



Kilkakrotnie pisaliśmy o budowie nowej siedziby Zespołu Szkół Rolniczych. Niestety, tempo pracy od kilku miesięcy wyraźnie „siadło”. Jeśli Człuchowski Przedsiębiorstwo Budowlane nie zechce pracować szybciej, to termin nie zostanie dotrzymany.



Na przystanku komunikacji miejskiej w Słupsku przy al. Sienkiewicza (w kierunku na Ustkę) ustawiono jeden z pierwszych automatów sprzedających bilety na przejazd. Wystarczy dwie 10-złotówki na linie w samym Słupsku. Do najbliższej podwyżki cen biletów...



Gdyby ktoś chciał zgromadzić zdjęcia z wypadków w tym jednym miejscu — na skrzyżowaniu ul. 9 Marca i Tuwima w Słupsku — miałby do dyspozycji grubą album. Rozbijają się tu samochody ciężarowe, autobusy, a ostatnio nawet został mocno uszkodzony „maluch” holowany świeżo po pracach blacharskich. Czy naprawdę nie ma sposobu, by skutecznie poprawić sytuację na tym skrzyżowaniu?

Fot. JAN MAZIEJUK

Protest nie wystarczy

Dyskusja o energetyce jądrowej zatacza coraz szersze kręgi. Uczestniczą w niej także „Zbliżenia”, relacjonując przebieg darłowskiego protestu przeciwko planom budowy elektrowni atomowej nad Jeziorem Kopań. Sprawa ta znalazła się w centrum społecznych emocji i działań ruchów ekologicznych. Odżyła przy okazji świadomość, że z drugiej strony budowana jest od kilku lat „atomówka” w Żarnowcu. Wszystko to dzieje się w regionie pomorsko-kaszubskim, który planowo ma być chroniony przed ekologicznymi skutkami oddziaływania wielkiego przemysłu. Zrozumiałe, że budzą się przy tym sprzeczności i mnożą kontrowersje. Jednak budowa elektrowni jądrowej nie jest wyłącznie sprawą regionalną. Stanowi element szerszego problemu: stanu polskiej energetyki i perspektyw jej rozwoju.

Coraz trudniejsza sytuacja energetyczna zmusza do poszukiwania nowych rozwiązań. W ubiegłym roku normy zużycia energii zostały przekroczone. Podstawowe surowce to węgiel kamienny i brunatny, których wydobycie jest ograniczone — w przypadku węgla kamiennego nie można przekroczyć 200 mln ton rocznie.

Naukowcy ze Wspólnoty Energetyki

i Węgla Brunatnego opracowali program rozwoju energetyki i ciepłownictwa do 2000 roku oraz prognozy tego rozwoju do 2020 r. Przewidują, że za 30 lat nadal sporo energii będziemy produkować z węgla, ale dużo mniej niż dziś. Częściowo lukę wypełnią surowce jądrowe, z których powstawać będzie ok. 20% energii. To dopiero za kilkadziesiąt lat — w najlepszym przypadku — kilkanaście lat. W tej chwili najbardziej realna szansa tkwi w racjonalizacji użytkowania tego, co już posiadamy. Główne propozycje to odnowa i modernizacja starych elektrowni oraz rozwinięcie wzbogacania i odsiarczania węgla kamiennego.

Program ten przedstawiono na spotkaniu, które odbyło się nie tak daleko od Darłowa, a całkiem blisko Żarnowca. Pierwsza z sesji o perspektywach rozwoju energetyki organizowanych przez Gdańskie Towarzystwo Naukowe ściągnęła naukowców różnych dziedzin z całego kraju i przedstawicieli mnożących się ostatnio jak grzyby po deszczu ruchów ekologicznych. Mówiono dużo o bardzo różnie o energetyce jądrowej. Były głosy za i przeciw. Rozważano prognozy gwałtownego wzrostu jej kosztów i konieczności wliczenia w nie elementów, któ-

rych nikt jeszcze nie potrafi określić, np. ceny składowania odpadów promieniotwórczych. Najwięcej emocji budziła oczywiście kwestia bezpieczeństwa i obawa, że energetyka jądrowa uznana w powszechnym mniemaniu za poważne zagrożenie — może się przedrzeć czy później okazać rozwiązaniem przejściowym, ze względu na brak dostępu do surowców.

Zapewnieniom o bezpieczeństwie elektrowni jądrowych można wierzyć lub nie — nawet wybitni specjaliści nie wszystko jeszcze wiedzą na ten temat. Dobrze jednak, że w rozważaniu spraw tak kontrowersyjnych pojawiają się argumenty obu stron. Jedną i drugą bowiem powinny zrozumieć, że krytyczna sytuacja w energetyce zmusza nas, a przede wszystkim władzę i przedstawicieli nauki do nowych, być może ryzykownych posunięć. Ważne, żeby ryzyko było przemyślane i kontrolowane.

Fakt, że dyskusja była podsycana emocjami, nie zmienił jej rozważnego tonu. Powinno się to stać nieodłączną cechą tego typu spotkań. Naukowcy prezentowali także alternatywne rozwiązania w dziedzinie energetyki, które z powodzeniem stosuje się w innych

Mała i duża polityka

PRAGNĘ zapytać I sekretarza KW i wojewodę koszalińskiego, ile w Koszalinie jest dworców PKP?

Konstanty Cybulski, członek POP w „Tepro” pyta zupełnie poważnie, choć przez salę przebiega szmerek śmiechu. Widząc, że nikt nie kwapi się do bezpośredniej odpowiedzi ciągnie dalej:

— Ja wiem, co towarzysze odpowiadają; że jeden. A ja wam mówię, że są dwa, bo PKP urządziła sobie dziki dworzec na Górze Chelmskiej. Z Koszalina pociąg wyjeżdża wprawdzie punktualnie, ale dwa kilometry dalej czeka sobie 15 minut. Do Wiekowa przyjeżdża zawsze spóźniony, a ja nie mogę zdążyć na autobus...

— Powiedźcie towarzyszu Ciosek dlaczego przy naszym wejściu do Biura Politycznego tak wielu członków KC was skreśliło? — pyta Zbigniew Skrzycki, brygadzieta montażu.

— Czy możecie powiedzieć kiedy zostaną ustalone zasady podatkowe dla przedsiębiorstw państwowych na bieżący rok? To Helena Pacewicz, zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych.

Bogdan Grunt, główny technolog, a w POP sekretarz, wraca do pytania, które stawiał już Stanisławowi Cioskowi 9 września ubiegłego roku:

— Kiedy zaczniemy „utwardzać” złotówkę? — I tytułem komentarza dodaje, że szlag go trafia, gdy widzi obcokrajowca, który za dolara sprzedanego po kursie czarnorynkowym funduje sobie wystawny obiad w drogiej, polskiej restauracji. Do tego pytania dodaje następne: Czy przyjęcie przez Komitet Centralny „Stanowiska” w sprawie pluralizmu nie jest czasem pozostawieniem Alfreda Miodowicza „na lodzie”?

Pytania przeplatają się z wypowiedziami, mała polityka z wielką. Trwa zebranie sprawozdawcze organizacji partyjnej w „Tepro”. Uczestniczy w nim członek Biura Politycznego i sekretarz KC Stanisław Ciosek, członek tej POP. Stąd też po sprawozdaniu dyskusja co i rusz odbiega od spraw zakładowych i sięga problemów, którymi zajmowało się X Plenum.

Jerzy Jeleń, ślusarz, chce wiedzieć co to jest „spółka z o.o.” i skąd taki urodzaj na nie w ostatnim czasie? Ponadto zauważa, że przedstawiciele Komitetu Miejskiego w ich POP bywają wprawdzie na zebraniach, ale w ubiegłym roku zebrań było tylko 6, więc wychodzi na to, że kontakt z organizacją utrzymują raz na dwa miesiące... Inny problem nurtuje Andrzeja Dmowskiego, przewodniczącego zarządu NSZZ Pracowników „Tepro”:

— Powiedźcie towarzysze jaki będzie ten socjalizm? Oglądam w

telewizji wypowiedzi naukowców odpowiadających na ankietę Ireny Dziedzic i każdy z nich twierdzi, że to, co budowaliśmy przez prawie 45 lat, wcale socjalizmem nie jest. Więc co myślimy budować?

Józef Szczepkowski, emeryt, łodzianin z pochodzenia wspomina, że za jego młodych lat żyło się ubogo. Później było lepiej. A teraz znów jakbyśmy wrócili do dawnych czasów.

— Gdy żona wysłała mnie do sklepu spożywczego z tysiącem złotych, to choć nie kupuję marcepanów, często muszę wracać po „zaskórniaka” — mówi, a sala wydaje pomruk zrozumienia, bo niejednemu i niejednej taka sytuacja się przydarzyła.

Grażyna Skup, też emerytka, martwi się, że postanowiono w bieżącym roku znieść kartki na mięso. — Jeżeli teraz, przy ograniczonej kartkami sprzedaży trzeba o piątę rano stać w kolejce, żeby coś kupić, to co będzie bez kartek? — pyta. Ale nie tylko to ma do powiedzenia. Może ktoś pomógłby jej kupić pralkę automatyczną, bo ma w domu pięć chorych, uzbierała nawet te 120 tysięcy złotych, ale na dodatkowe 50 tysięcy na „staczą” już ją nie stać...

Marek Stypułkowski, kierownik działu zaopatrzenia i jednocześnie wiceprzewodniczący Rady Pracowniczej pyta czy w „Centrum” nie zagnieździł się przypadkiem sabotażysta, którzy uwieźli się rozłożyć gospodarke przy pomocy różnych przedziwnych przepisów.

— Ktoś wymyślił przepis, że przy zakupie towaru o wartości do 300 tysięcy złotych trzeba płacić gotówką. Jeżeli idę np. do Rzeszowa i mam zrobić dla zakładu drobniejsze zakupy w trzech miejscach — muszę wziąć ze sobą milion złotych. A przy takiej kwocie obowiązuje już konwojent...!

Duża polityka przeplata się z małą. Do Stanisława Cioska mają szczegółowe pytania i Jerzy Jeleń, i Zbigniew Skrzycki, i Marek Stypułkowski. Pierwszy pyta dlaczego gen. Jaruzelski chciał na X Plenum zrezygnować ze swoich funkcji, drugi — o przyszłość ruchu związkowego w Polsce, trzeci o przyszłość samorządów pracowniczych dodając, że zawsze, gdy mówiło się o zwiększeniu roli samorządu — postępowało zwykle odwrotnie.

Notując te pytania, przysłuchując się wypowiedziom poszczególnych towarzyszy, w pewnym momencie uświadamiam sobie, że ta mozaika zainteresowań, że te różne hierarchie problemów są naturalnym odbiciem zainteresowań „bazy partyjnej”, tej bazy, od której zależy „świadomość” polityczna całej partii.

Socjalizm, który wykształcił zawód „staczą” nie może być pociągający — mówi Stanisław Ciosek — i takiego socjalizmu nie zamierzam bronić, ani tym bardziej go podtrzymywać. Nie mogę tego robić nasza partia, bo utraci wiarygodność. Właśnie dlatego potrzebne było X Plenum, po to, by — jak to określił gen. Jaruzelski — zamknąć polski etap „Krótkiego kursu”. Jaki będzie ten nowy socjalizm — pyta tow. Dmowski. Główne jego cechy określiliśmy w uchwale X Plenum. A ten konkretny i odczuwalny przez każdego Polaka kształt trzeba wypracować. Nikt dziś nie ma gotowych wzorów, ani gotowych rozwiązań. Skonkretyzowanie potrzebnego społeczeństwu wzorca polskiego soc-

jalizmu musi nastąpić w umowie społecznej, umowie wszystkich realnych sił politycznych i społecznych naszego kraju. I właśnie dla zawarcia tej umowy potrzebny jest Polsce pluralizm, który oznacza przecież nic innego, jak uznanie realnej polskiej rzeczywistości, w której pluralizm faktycznie istnieje, choć był dotąd taktycznie lub nawet wstydliwie nie dostrzegany.

— Pytaliście towarzyszu Grunt, czy przyjęte przez KC „Stanowisko” w sprawie pluralizmu nie pozostawia OPZZ „na lodzie”. Nie, ono tylko przywraca normalność, która jest zawarta w ustawie o związkach zawodowych, ustawie uchwalonej przez Sejm w 1982 roku. Ustawa przewiduje pluralizm związkowy, tyle że ten pluralizm Rada Państwa, zgodnie z przysługującym sobie prawem, „zamroziła” do czasu. Nie chcemy i nie możemy dopuścić do pluralizmu konfrontacyjnego, do konfrontacji w zakładach, na ulicach. Niech pluralizm konfrontuje się argumentami w parlamencie, w radach narodowych. Prawda, zwolenników pluralizmu w partii jest tyle samo co i przeciwników. Ludzie mają swoje obawy, mają też swoje przyzwyczajenia. Kierownictwo partii uważa jednak, że trzeba iść naprzód. Dlatego Biuro Polityczne poprosiło o stanowisko Komitet Centralny. Było głosowanie bez udziału członków Biura. Otrzymałobyśmy wotum zaufania. Więc tę linię reform będziemy realizować w imię dobra Polski i dobra partii.

Fakt, że podczas wyboru mnie na członka Biura Politycznego otrzymałem dużo skreśleń wcale mnie nie martwi. Miał już czas pozornej jednoznaczności. Dzięki temu głosowaniu wiem, że nie wszystkim podobają się moje poglądy polityczne. Ale wiem także, że dwie trzecie członków KC je podziela.

Obecnie najważniejszą sprawą dla Polski, a więc i dla partii jest zahamowanie inflacji. To ona zżera wszelkie nasze wysiłki, choć w produkcji materialnej nie tylko nie ma regresu a jest nawet postęp. Ale tego postępu nie ma na półkach i ladach. Inflacji nie można zaś opanować bez umowy społecznej, w której trzeba określić na co Polskę stać wobec Polaków. Wymuszanie podwyżek płac, na które nie ma towarów prowadzi państwo do ruiny, anarchizuje rynek, pogarsza nastroje społeczne. I musimy też wszystkim powiedzieć bez ogródek, że z kryzysu nie wychodzi się suchą nogą. Muszą być ofiary. Rzecz tylko w tym, by te ciężary rozłożyć sprawiedliwie. To też jest do zapisania w umowie społecznej...

Uchwała X Plenum Komitetu Centralnego budzi duże zainteresowanie w partii i w społeczeństwie. Budzi też kontrowersje. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że jest to uchwała najwyższej między zjazdami władzy partyjnej i musi być realizowana, nawet przez tych towarzyszy, którzy mają wobec niej wewnętrzne opory. Taka jest logika partii politycznej, a taką przecież jesteśmy.

Zebranie sprawozdawcze POP w „Tepro” przyjęło wniosek, by projekt uchwały Komisja Wnioskowa przedstawiła na następnym zebraniu. Ale do Komisji już teraz wpłynął inny wniosek: by w uchwale zawrzeć poparcie dla stanowiska KC wyrażonego w uchwale X Plenum.

JAN URBANOWICZ

WOJEWÓDZKI ZJAZD SD W SŁUPSKU

Partia czy Stronnictwo?

Prawie wszyscy, pomijając oczywiście gości, którzy występowali w dyskusji na niedawno odbytym Wojewódzkim Zjeździe Stronnictwa Demokratycznego w Słupsku nie ośmieszali odnieść się do tej alternatywy, choć jest to obecnie alternatywa pozorna.

Owszem, według dawnych definicji Stronnictwo Demokratyczne nie wyraża interesów jednej klasy, ale czyż nie jest faktycznie partią polityczną? Jednocześnie wokół sławnego programu politycznego, interesującej politycznej doktryny, sporą grupę ludzi w naszym kraju. Wyraża interesy tych warstw i aktualnie dysponuje władzą.

A jednak, według wielu działaczy Stronnictwa, niezbędna jest zmiana jego nazwy i przyjęcie pleno tittulo miana Polskiej Partii Demokratycznej.

Ten dylemat rozgrzewający do białości działaczy Stronnictwa ma w istocie swój rdzenny w latach osiemdziesiątych gdy Stronnictwo wyartykułowało własny program, którego doktryna określa się jako demokracja parlamentarna w socjalizmie.

Program ten przechodził rozmaite ewolucje, ale warto powiedzieć, że w sensie teoretycznym i intelektualnym opublikowany obecnie w dokumentach przed kolejnym Kongresem SD, prezentuje się wcale spójnie i nader interesująco dla wielu ludzi, niekoniecznie wywodzących się z warstw tradycyjnej klienteli politycznej Stronnictwa, to znaczy rzemieślników i inteligencji.

Namiętnie nalegania, aby słowo partia znalazło się w nazwie Stronnictwa nie jest jednak wyłącznie sztuką dla sztuki. Wynikają one z długoletnich doświadczeń w politycznej działalności, gdy zwyczajną praktyką nie była koalicja władzy, lecz niedokładnie określone partnerstwo wobec kierowniczej roli PZPR. Doświadczeń tych, działacze Stronnictwa nie chcą zaliczyć do dobrych i niestety już minionych.

W swej Deklaracji ogłoszonej przed XIV Kongresem działacze Stronnictwa piszą: „Źródłem naszej politycznej rozwiniętej w programie Stronnictwa jest polski i europejski humanizm. Splatają się w nim filozoficzne wątki liberalizmu, socjalizmu, idei chrześcijańsko-społecznych. Humanistyczny ideał naszego Stronnictwa zakłada, że punktem wyjścia i dojścia myśli i działań jest jednostka w jej związkach ze wspólnotą. Ideał ten wyklucza zarazem posługiwanie się w przedsięwzięciach politycznych środkami moralnie niegodnymi...”

„Uważamy, że współczesne społeczeństwo polskie nie jest instytucją klasową, lecz najwyższą organizacją całego narodu...”

Można te ideowe deklaracje potraktować z góry, bowiem tracą dziesiętnastowiecznym idealizmem, mają one jednak dla ludzi,

którzy odrzucają walkę klas za wartą w myśli marksistowskiej, pewien wdzięk i nadzieję na lepsze ułożenie stosunków społecznych.

Stronnictwo dąży do przekształcenia polskiego modelu socjalizmu w system demokracji parlamentarnej i wynikających z tego konsekwentnie demokratyzacji metod rządzenia oraz liberalizacji gospodarki.

W sensie ideowym i teoretycznym dyskusja działaczy Stronnictwa Demokratycznego, jak sądzi, dobrze przysłuży się rozwinięciu doktryny politycznej Stronnictwa przed XIV Kongresem. Zresztą, uchwała przyjęta przez Wojewódzki Zjazd postuluje dokonanie zmian w Konstytucji w duchu swej myśli teoretycznej uznającej społeczeństwo za suwerena państwa, nie zaś dwie klasy robotników i chłopów. Trójpodział władzy przy zachowaniu szczególnej roli organów przedstawicielskich, wpisanie do Konstytucji gwarancji dla sektora prywatnego, równoprawnego podmiotu w gospodarce.

Oczywiście, uchwała wspiera te ideowe i teoretyczne konstrukcje programu Stronnictwa, które zapewnią mu większe znaczenie polityczne na polskiej scenie, w najbliższych latach zmian i przemian, których jesteśmy obecnie świadkami.

Ale i na tym tle warto się zastanowić jaką pozycję ma obecnie SD w naszym regionie, na ile sprawuje władzę oraz, co ważniejsze, kto będzie jego prawdziwą polityczną klientelą.

Istotnym zjawiskiem do odnotowania jest wyraźny radykalizm bazy Stronnictwa. Przecież nie jest tajemnicą, że podczas zjazdów miejsko-gminnych niektórzy działacze SD wręcz żądali aby Stronnictwo przeszło do opozycji, aby wystąpiło z tak zwanej koalicji. Upatrywali w tym geście politycznym szansę na poprawienie wizerunku SD w społeczeństwie. W tych kręgach twierdzi się stanowczo, że Stronnictwo w oczach społeczeństwa, a zwłaszcza ludzi

młodych skazane jest bacyłem współpracy z PZPR. Zarzucano również kierownictwu WK SD zbyt konserwatywny polityczny, małą ofensywność, wręcz zbyt uległość wobec wypracowywanych stanowisk na Komisji Współdziałania Partii i Stronnictw Politycznych.

Głównym źródłem tego radykalizmu są młodzi, których w SD jest mniej niż w poprzednich latach, choć liczby nie są, w sensie bezwzględnym, imponujące.

W sumie Stronnictwo skupia w województwie 2400 członków, z czego młodych do lat 35 — 838, to jest 34,8 procent składu wojewódzkiej organizacji.

W ostatnich latach trzeba zauważyć spory napływ ludzi ze środowisk inteligencji urzędniczej do Stronnictwa, a więc spoza tradycyjnego grona dotychczasowych sympatyków Stronnictwa. Przy tym, co również nie jest bez znaczenia, Stronnictwo traci wpływ w środowisku uważanym poprzednio za tradycyjną bazę. Nie jest to proces gwałtowny ale jednak widoczny.

Wojewódzki Zjazd Stronnictwa w Słupsku koncentrując się w dyskusji i uchwale na doktrynie przedkongresowej jakby zapominał o analizie trzymającej się bliżej ziemi.

Zmiany zachodzące w programie SD wymagają również osądu tego, co najbliższe.

W tej dziedzinie — chyba że był to wybieg taktyczny, nie można było usłyszeć odpowiedzi na postawione wyżej pytanie. Czy SD w naszym województwie faktycznie sprawuje władzę, jak ocenia formułę koalicji, jaką obecnie zajmuje pozycję na politycznej scenie województwa.

WALDEMAR PAKULSKI



Podczas Wojewódzkiego Zjazdu SD w Słupsku jego zasłużonych działaczy udekorowano wysokimi odznaczeniami państwowymi. Między innymi Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał Henryk Kaczyński, a Kawalerski: Edward Koprowski i Józef Padgórski.

Fot. JAN MAZIEJUK



Nowa spółka „Inter-Rai-Pol”

W siedzibie dyrekcji Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Biesowicach podpisano umowę o powstaniu nowej polsko-niemieckiej spółki rolnej „Inter-Rai-Pol”. Przystąpiło do niej 18 PGR z woj. słupskiego, Centrala Nasienna, Bank Gospodarki Żywnościowej, Krajowy Związek PGR, Centrala Handlu Zagranicznego „Rolimpex” oraz koncern „Raiffeisen” Hage z Kiel w RFN zajmujący się produkcją koncentratów i komponentów paszowych.

Działalność spółki, z tymczasową siedzibą w PGR Biesowice (jeden z jej udziałowców) sprowadzać się będzie do sprzedaży na Zachodzie polskich zbóż, łubinów i innych roślin motylkowych. Za uzyskane dewizy spółka sprowadzać będzie do Polski niemieckie komponenty paszowe (np. „Primex”), z których m.in. PGR Koczala produkować będzie superkoncentraty i koncentraty paszowe na zaopatrzenie innych PGR, w ilości ok. 60 tys. ton rocznie. Spółka będzie też kupować w RFN i sprowadzać do Polski agregaty firmy „Rau” służące do uprawy ziemi według najnowszej technologii. Do tej pory w kraju pracuje dziewięć takich agregatów a według przewidywań tylko w tym roku w Słupsku przybędzie ich już 16.

„Inter-Rai-Pol” — to jak dotąd największa spółka rolna w Polsce z udziałem kapitału zagranicznego (wkład strony niemieckiej wyniósł 1 mln 10 tys. dolarów). Powstała ona głównie w inicjatywę Krajowego Związku PGR, który na wspólników wyszukał sobie godnych partnerów w słupskich pegeerach. Zyski będą dzielone po połowie, bo takie — 50 proc. są udziały stron spółki.

(ZBZ)

Gratulacje po podpisaniu umowy (inż. Stanisław Witosławski — prezes Krajowego Zarządu Związku PGR — po prawej dr Christian Boyens, dyrektor „Raiffeisen” Hage).

Fot. JAN MAZIEJUK

— Co tu pani dużo gadać!... Jest taka opinia u ludzi, że chłopak z poprawczaka, to już dno. Sama pani wie, że tak mówią! A wie pani jak to jest? Ten co czuje się na siłach i chce coś ze sobą zrobić — zrobi! Ale ten co sobie powiedział — jestem przegrańcem — zostaje na dnie. Potem mówi — nic nie będę zmieniał, bo i tak zgniję w kryminale!

Jak ptaki

— Przedstaw się!
— Chodzę do piątej klasy szkoły podstawowej. Mam brata i mamę...

— Co ci się stało synu, że wyładowałeś u nas? Na koniu wjechałeś do kościoła?

— Kiedy ostatni raz byłeś w szkole?

— Chyba w tamtym roku...

— Czy to normalne, żeby sympatyczny chłopak tak postępował?

— Co lubisz robić?

— Wszystko.

— Wszystko, to znaczy nic! A więc — masz jakieś zainteresowania?

— Lubię grzebać w siłnikach...

Należałem do PZMotu...

— Widzisz synu, spotkało cię straszne nieszczęście. Znalazłeś się w poprawczaku. Nie pasujesz tutaj, nie jesteś draniem!

— Możesz o sobie powiedzieć, że jesteś złodziejem?

— No, więc jak...?

— Nie chcę tego o sobie powiedzieć, tak mnie jakoś wciągnęło...

— Słuchaj — ja bym chciał, żebyś tu nie trafił, ale skoro już tu jesteś, dam ci na początek dobrą radę — zanim coś zrobisz — pomyśl! Tak długo u nas będziesz — jak zechcesz! Wróć do domu, kiedy stwierdzimy, że możesz prowadzić samodzielne życie. U nas załatwisz dwie sprawy — skończysz szkołę podstawową i zdołasz zająć się zawodem... Ile masz lat, synu?

— Siedemnaście.

— Masz dziewczynę?

— Mam.

— Myślisz, że będzie ci chciała odwiedzić?

— Nie wie, że tu jestem. Nie chce, żeby wiedziała!

— Jak się zdecydujesz na jej odwiedzinę, przyjdź do mnie i powiedz. A teraz idź, odpocznij, bo bardzo jesteś zdenerwowany. Nikt nie będzie na ciebie krzychał. Pewnie inaczej sobie wyobrażałeś zakład poprawczy?

— Wyobrażałem sobie, że stoi facet z pałą w ręku i leje.

— Powoli się dowiadywałem od tego chłopaka, co z nim byłym w Schronisku dla Nieletnich, jak tu jest. Powiedział, że nie będę żałował...

Przestraszony, rozdygotany chłopak w dresach powoli się odprężył. Nie patrzy na dyrektora. Czasem rzuca niespokojne spojrzenia na mój notes. Coraz częściej rozbiegany wzrok skupia na dużym, kolorowym akwarium z rybkami. Teraz rozumiem, dlaczego stoi ono w gabinecie Lesława Fukiety — wieloletniego dyrektora koszalińskiego Zakładu Poprawczego. Pierwsze bariery i pierwszy strach przełamane, ogromna paprotka, akwarium, model statku podarowany przez jednego z wychowanków i... spokojny głos dyrektora. Pusta przestrzeń potęguje zdenerowanie. Ta jest wypełniona do granic możliwości. Oczy mają się po czym ślizgać. Nic w tej pierwszej rozmowie nie powinno przeszkadzać. Moja obecność krępuje. I tak już będzie za każdą wizytą. Obcy wnosi ze sobą poczucie zagrożenia — choćby tylko irracjonalnego.

Zanim przyjechałam do poprawczaka w Koszalinie przeszedłam losy trójki jego wychowanków. Jędrak 17 lat. Syn spokojnych, starszych ludzi którzy nie potrafili wywrzeć żadnego wpływu na życie Jędraka i jego starszego brata — Jerzego. Byli zdziwieni, gdy na rozprawie sądowej zapadł wyrok pozbawienia wolności — 7 lat dla starszego syna, 6 lat dla młodszego. Nawet nie przypuszczali, że ich dzieci mają na koncie porwania samochodów, okradanie ludzi na ulicy, rozboje, napad i ograbienie szkoły. Jędrak miał szczęście, że nie trafił do kryminatu. Nie ma jednak pewności, co do jego dalszych losów. Jeżeli kryminal zrobi ze starszego brata recydywistę, los Jędraka może być zagrożony, bowiem starzy rodzice dawno utracili więz z synem.

W aktach Pawła znalazłam opinię nauczycielki ze szkoły podstawowej: „Paweł powtarzał klasę I, II i III ukończył z wynikami dobrymi i dostatecznymi. W klasie IV zaczęły się kłopoty wychowaw-

cze, gdyż pozbawione opieki dziecko popołudniami walało się po ulicach. Zaczął palić papierosa, i pić piwo. Zanimowano szereg kradzieży. Potem zatrzymano w Milicyjnej Izbie Dziecka za kradzieżę”.

Dalej to już schemat: Matka, która odeszła zostawiając męża alkoholika z synem. Czas wypełniany, wśród starszych zdemoralizowanych kolegów kradzieżami, rozbojami, napadami rabunkowymi. Wreszcie — dom dziecka. Ucieczki i przymusowe powroty pod eskortą milicjantów. I final w sądzie a zaraz po nim wyrok — jeszcze nie więzienie poprawczaka.

Alkohol zaprowadził na sądową salę wielu z tych młodych ludzi. Także Zbyszka chłopaka z podslupskiej wsi.

Gdyby wychowywał się w tzw. normalnej rodzinie pewnie nie poznalby życia za kratami. Za wcześnie wódka wkroczyła w jego życie kalejąc psychikę. Nawet pobyt w zakładzie poprawczym nie osłabił pociągu chłopaka do kieliszka. W zakładzie jest pilnowany. Kto będzie go pilnował po wyjściu na wolność?

Pierwsze kradzieże były drobne. Kumpłom wynosiłem z piekarni bułki... a taka poważniejsza kradzież, to we czterech ukradliśmy koło od samochodu. Było po dwudziestej drugiej... Mieliliśmy trochę kłopotów z wyjęciem tego koła... Jak się udało — była radość. Forsa była potrzebna na rozrywki i na życie. W domu niczego mi nie brakowało. Rodziców mam raczej konsekwentnych. W domu musiałem być o 21. Mogłem oczywiście wyjść, ale musiałem się tłumaczyć — gdzie, po co, z kim, kiedy wrócę. Nie podobało mi się to. Zawałam szkołę. Chciałem prowadzić samodzielne życie — uciekle z domu. Teraz się żałuję — po fakcie dokonany... Pewnego dnia spakowaliśmy manatki i ruszyliśmy w Polskę. Początkowo było spokojnie. Pracowaliśmy u faceta, co miał porzeczeki. Po pewnym czasie znudziła nam się praca.



Poszukiwałem czegoś ciekawszego — zaczęliśmy pijaków obrabiać. Wybieraliśmy dni wypłat. Wyczuwaliśmy, że śpiący na ławce człowiek pieniądze ma przy sobie. Wymyśliłem sobie, że to dla pijaka ma być nauczka — żeby więcej nie pił... Jeździliśmy po Polsce. W Katowicach, Wrocławiu, na Mazurach... jak się nie chciało jechać pociągami, to samochód jakiś żeśmy doprowadzili. Po trzech miesiącach miałem rozprawę. Na swoim koncie miałem bardzo dużo — włamania do mieszkań, kradzieże kół, obrabianie taksówek, bicie. W sumie cztery artykuły — 203, 208, 210, 214. Gdybym był dorosły dostałbym, jak nic co najmniej pięć lat!

Jeszcze byłem dość młody, to straciłem matkę... znacząco odeszła od nas. Zostałem sam z ojcem. Ojciec jak mógł tak mnie wychowywał. Z początku było bardzo dobrze, a le krótko. Później znalazłem się w domu dziecka. Później szkołę zawałam. Spotkałem kumpła — nowego... Imponowało mi ich życie. Można było coś zmagistrować, porzobić. Zaczęłem z nimi się walać po mieście i poznawać ludzi, jak to się mówi z marginesu społecznego. Byli to głównie warunkowo zwol-

nieni z kryminalów, z zakładów poprawczych i wychowawczych. Przebywałem z nimi coraz częściej. Wtedy zaczęły się ucieczki z domu dziecka. Zaczęłem robić to, co oni. Zaczęły się kradzieże i bójkę. Wtedy miałem 9 lat. Na początek byłem tylko świadkiem. Moi koledzy mówili — no kajtek — przypatrz się, żebyś za parę lat umiał! Mnie to bawiło! Tu się ukraść, tam sprzedać, gdzieś indziej popiło. Złapał mnie. Znalazłem się w Schronisku dla Nieletnich. Tam poznałem znowu innych kumpła, którzy mieli za sobą kradzieże i bójkę. Doświadczali nas — małolatów. Każdy, który przychodził, słyszał, jak oni to robili. I myślał sobie — gdybym ja tak zrobił — nie wpadłbym...

Uczestniczę w apelu. Osiemdziesięciu wychowanków ustawionych w czworobok na korytarzu internatu. Żaloso, zagubione dzieciaki. Przypomina mi się fragment spektaklu przygotowywanego przez ich własny zespół teatralny wg. scenariusza Janusza Głowackiego („Uparciuch”). Reżyser poszukuje w domu poprawczym tematu do nowego filmu. Wysłuchuje opowieści o losach wychowanków a potem komentuje je:

— Chciał pan powiedzieć, że oni są jeszcze dziećmi! Ale właśnie

chcemy pokazać, że te jeszcze dzieci — przeszły piekło, ich doświadczenia przekraczają często doświadczenia dorosłego człowieka!

Prowadzący apel wychowawca wyczytuje nazwiska nagrodzonych i ukaranych a ja układam w pamięci jeden przeciętny model ich losu. Od wychowawców wiem, że charakterystyczny w ich życiorysach jest brak miłości w życiu rodzinnym. Pozbawione zainteresowania dorosłych — dzieci szukają akceptacji w gronie rówieśników. Kryzys zaczyna się najczęściej w V klasie szkoły podstawowej. Pojawiają się trudności w opanowaniu wiedzy. Potem ucieczki ze szkoły, która niesie ze sobą tylko niepowodzenia. Każdy ma potrzebę osiągnięcia sukcesu. Wielu z nich zaczynało kraść, bo to nie tylko dostarczało emocji, ale dawało poczucie jakiejś wartości własnej. Nareszcie coś mi się powiodło — tak myślał każdy z nich. Niewydolne wychowawczo rodziny nie potrafiły zaszczepić w tych dzieciach społecznie pożądanych sposobów postępowania. Niewłaściwie zostały wykształcone uczucia wyższe, brak było w rodzinach wzorców do naśladowania. Model ten pasuje zarówno do rodzin lekarzy jak i stolarzy. Tyle, że ci pierwsi umierają ze wstydu, przyjeżdżając w odwiedziny do poprawczaka, a ci drudzy nie mogą pojąć, dlaczego ich dziecko spotkała taka niesprawiedliwość. — Prawie żaden z dorosłych nie znajduje winy we własnym egoizmie — łatwiej znaleźć ją w synu-wyrzodku. Który bez powodu, nagle uciekł z domu i wpadł w środowisko kryminalistów. To też schemat — niezawinionej bezradności dorosłych wobec dorastających dzieci. Powtarza się nader często. Nic więc dziwnego, że chłopcy rosną w atmosferze odrzucenia — przez szkołę, przez rodziców. Zbierają negatywne doświadczenia. Psycholog twierdzi, że te doświadczenia z czasem powodują powstawanie ciężkich nerwów albo odchyliń psychopatycznych. Wszędzie odrzuceni — znajdują pierwszą życiową przystań za murami zakładu poprawczego! Ironicznie to brzmi, ale dla wielu młodych chłopaków właśnie tutaj, luźnie — po raz pierwszy od lat mają czas na ich sprawy. Jeszcze raz, od nowa uczą ich abecadła społecznego współżycia. Nie zawsze im się udaje.

— Niech pani sobie nie wyobraża, że poprawczak, to maszynka, do której wrzucą się diabełki, a wychodzą z niej aniołki — to zdanie słyszę często od dyrektora Fukiety. Nic nie jest do końca białe, ani czarne.

Statystyki prowadzone przez dyrektora mówią, że niewielki procent wychowanków trafia do więzień. W sądzie słyszę natomiast, że poprawczaki są doskonałą szkołą dla przyszłych kryminalistów. (cdn)

JOLANTA NITKOWSKA
Fot. JAN MAZIEJUK

BÓG NAJCHETNIEJ POMAGA ZARADNYM...

Prywatne boje księdza Patalasa



c.d. ze str. 1

Taka jedna spółka przejęła, dla przykładu, od spółdzielni tartak w Trzebiatkach i dziś robi na nim takie pieniądze, że ho, ho, na tyle, że stać ją by rocznie płacić 3,5 mln zł samej dzierżawy a ludziom po 80—100 tys. zł miesięcznie. A spółdzielnia przynosiła tylko straty.

Zakreślił się więc ksiądz proboszcz w poszukiwaniu jakiejś spółki, która mogłaby wykorzystać oborę, przywiózł przedstawiciela na rozmowę do naczelnika gminy Tuchomie... Przywiózł raz, przywiózł drugi i trzeci, i kiedy by nie zajechali do Urzędu, naczelnika nie było; zawsze był w „terenie”. Ale konkretnie gdzie, nikt w Urzędzie nie wiedział. I gość w końcu zwątpił!

Tyle, że kiedy potem spotkał się ksiądz z naczelnikiem, ten go zupełnie zaskoczył. Powiedział tak jakoś, żeby mu tu nie sprowadzać żadnych spółek. Jeśli chcą, same naczelnika znajdą. I teraz ksiądz Patalas sam już nie wie, czy naczelnik tylko tak na odczepnego powiedział, czy też rzeczywiście życzy sobie żeby spółki same do niego po prośbie przychodziły! I też nie może zrozumieć, jak to może być, że kiedy pieniądze same się do gminy pchają jak na tacę — to gminna władza nie chce nawet o tym rozmawiać.

A przecież są to pieniądze, które ożywiłyby oborę, a może coś jeszcze. A ożywiona obora dałaby pracę ludziom i spore zyski do budżetu gminy. Gdyby były takie zyski nie miałby, na przykład, kłopotów ani Janusz Starzyński, dyrektor miejscowej szkoły, ani komitet organizacyjny budowy nowej szkoły, który ukończył się kiedyś wiesz absolutnie straciła nadzieję, że władze oświatowe gminy i województwa zatroszczą się o rozlatujący się budynek. W każdym razie proboszcz włączył się w tworzenie komitetu, pobił goślawił jego działalność, przydał wigoru i zbiórce pieniędzy, i pracom przygotowawczym. Teraz i dyrektor Starzyński, i proboszcz Patalas są pewni, że wiosną ruszą prace budowlane przy nowym obojku. Dokumentacja jest gotowa, jest już wykop...

— No, ale jak będzie z tymi telefonami — naciska mnie ksiądz Patalas; przecież przyjechałem po jego liście do redakcji, uważa więc, że to jakby zobowiązanie z mojej strony. Z Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacyjnego jak dotąd nikt nie przyjechał, mimo że ksiądz kusił dyrektora porządnie kawą i księżowską nalewką. Gdyby przyjechał, zapewne stwierdziłby naocznie, że to podziękowanie „za trud i ofiarę pracę” od dyrektora Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Szczecinie, które zdołałby ogłosić w Urzędzie Telekomunikacyjnego w Bytowie, jest jakby trochę na wyrost.



Zobaczyłby także dlaczego telefony źle działają. Ksiądz proboszcz nie jest fachowcem, ale wie już, że nie mogą dobrze działać, skoro linia jest uziemiona, przewody w kilku miejscach poprzerywane, wiją się między nimi gałęzie przydrożnych drzew...

— No więc jak będzie z tymi telefonami — nie ustaje ksiądz proboszcz.

Więc obiecuje mu, że napiszę. — Ze napiszę jak to mnie wsadził do samochodu i przywiózł, abym na własne oczy przekonał się, jaki jest naprawdę stan linii. Ze napiszę jak wielkie zdumienie okazał po raz któryś dyrektor Czapiewski z bytowskiego Urzędu Telekomu-

nikacyjnego, kiedy ksiądz Patalas w mojej obecności oświadczył mi, że telefony wciąż nie działają. Obiecałem, że wszystko napiszę, ale czy to przyniesie skutek — nie wiem, — zastrzegłem się zaraz.

— W Bogu nadzieja — odpowiedział mi ksiądz Patalas, choć sam wie najlepiej, że Bóg najchętniej pomaga zaradnym.

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH

ANDRZEJ RADZIK

Fot. JAN MAZIEJUK

Przepis... na życie



Bez trudu odnalazłam domek przy ul. Polnej, w którym pani Helena Stęga zamieszkała z rodziną 43 lata temu. Jej mąż zapuścił się w te strony pierwszy, w czerwcu 1945 r.: gdy zapalony myśliwy znalazł się w człuchowskich lasach — niczego więcej nie trzeba mu było do szczęścia. Kiedy przedwojenni koledzy ze Świecia pokpiwali z niego, że mieszka w chałupie pod lasem, gdzie diabeł mówi dobranoc, odciały się im krótko: a powiedzcie mi, gdzie ja znajdę takie węgorki!

Pani Helena poruszona moją wizytą, krząta się po kuchni, parzy kawę, na stole kładzie nowy obrus, stawia dwa talerze z wafłami przekładanymi i kaimakiem własnej roboty.

Panią Helenę poznałam na uroczystym spotkaniu nauczycieli, którzy obchodzili w minionym roku swie osiemdziesiąte urodziny. Zdziwiła mnie jej żywotność, ciekawa byłam historii jej życia, które rozpoczęło się na początku wieku, a dokładnie 3 lutego 1908 r...

Taśma z dawnych lat

Urodziła się w Krakowie, jako jedna z siedmiu córek kolejarza. Nie chciała pójść do szkoły, kiedy usłyszała, że austriacki nauczyciel zabił ucznia. Zaprowadzona tam na siłę, rozpaczliwie płakała, uciepiona rękawą starszej siostry, posadzonej w jednej z nią ławce przez nauczycielkę, dla uspokojenia rozhisteryzowanego dziecka. W końcu strach minął, okazało się nawet, że szkoła może być całkiem ciekawa; szczególnie gdy w wieku 10 lat zostaje się... nauczycielką.

— Jedną z pań urodziła dzie-

ko, była wojna, brak było nauczycieli, uznano, że potrafię nauczyć młodsze dzieci przynajmniej czytać i pisać: potem poproszono mnie na konferencję i wystawiałam oceny na świadectwach! Wtedy jednak jeszcze nie przypuszczałam, że zostanę prawdziwą nauczycielką, choć miałam chyba jakiś dryg do tego: jedna z uczennic przez 3 lata siedziała w oślej ławce, ale kiedy się za nią wzięłam, szybko ją opuściła!

Po ukończeniu szkoły dziewięcioklasowej oddano mnie do trzyletniej szkoły zawodowej, gdzie uczyłam się gospodarstwa domowego, hafciarstwa, krawiectwa, bielizniarstwa. Na wystawę prac ręcznych w Paryżu wysłano moją wyprawkę dla dziecka i zdobyłam nagrodę! W końcu poszłam do szkoły, która ostatecznie dała mi zawód nauczycielki. Było to trzyletnie seminarium pedagogiczne gospodarstwa domowego, zorganizowane na wzór szkół szwajcarskich. Tylko dlatego, że było zbyt ciasne, nie przyjmowano do niego chłopców, tak jak w Szwajcarii. Uczennicami były przeważnie ziemianki, była też jakaś księżna, nie pamiętam nazwiska... — Zaczęło nas 25, ukończyło tylko sześć. Jako ostatnia odpadła moja najlepsza przyjaciółka. Lila Potocka. To była szalona dziewczyna! Cienkie pończochy były wówczas luksem, ale przecież nie dla niej. Ona jednak cerowała stare pończochy, zaś pieniądze przeznaczała na czekoladę, którą nas częstowała. Zawsze ją ktoś do szkoły odprowadzał i przyprowadzał. Kiedy lekcje kończyły się o trzeciej, mówiła, że o piątej, a te dwie godziny spędzała na randkach z akademikami. W końcu zamieniła szkołę na męża...

Pani Helena wiele pamięta z tamtych czasów. Np. to, że wykłady na temat pielęgnacji niemowlęcia prowadziła lekarka, wnuczka doktora Jordana.

Ale jest już rok 1929. — Zaczęłam pracować w szkole Towarzystwa Ziemianek Pomorskich w Świeciu. Naszą protektorką była pani Emilia, z domu Plater. W szkole tej panie kształciły sobie kucharki, pokojówki, gospodynie. Po roku pracy wysłano mnie na praktykę, do dworu córki Zamoyskich, pani Róży. W kuchni królował sześćdziesięcioletni kucharz, który rozpoczął swoją „karierę” jako sześciolatek kuchcik: był mistrzem w robieniu zapraw! Jadło się tam po królewsku. Wystawny obiad składał się z dwunastu dań i nietaktem byłoby któregoś nie spróbować. Strasznie utylam po tych dwóch miesiącach!

Pani Helena z sentymentem wspomina tamten „wielki świat”, o który się otarła, bez żalu jednak, że te czasy minęły.

— Kiedy wyszłam za mąż, po urodzeniu drugiego dziecka i przeprowadzce do innego miasta, gdzie nie było takiej szkoły, przeostałam pracować. Jeździłam jednak po wsiach i urzędowałam pokaz żywnościowe, nie pomijałam żadnej okazji, żeby wykorzystać moje umiejętności. Zbliżała się wojna, w którą nikt nie chciał wierzyć. Na wszelki wypadek spakowałam rzeczy, wzięłam dzieci, jedną koleżkę i w ostatnich dniach sierpnia wyjechałam na wieś pod Rzeszów, do rodziny męża. Moje bagaże już tam nie dotarły. Został mi w letnich ubraniach...

Urodzona pod szczęśliwą gwiazdą?

Tam dopiero znalazłam biedy. Rodzina męża dała mi jedynie dach na głowę i mleko dla dzieci. Ja żywiłam się przeważnie kaszą. W tamtych czasach podstawą naszego menu były... warzywa, które z zapalem uprawiałam na dwóch grządkach. Ogórki miałam już w maju. — Mówiono o mnie, że muszę być córką ogrodnika. Nauczyłam tamtejszych ludzi uprawiać pomidory, sama natomiast uczyłam się hodować świnię. Karciłam je trawą polaną serwatką, a one rosły w oczach. Właściwie to wszystko mi się darzyło. Jak sobie postanowiłam — tak musiało być. W każdym nieszczęściu miałam też trochę szczęścia...

Słucham tych opowieści z czasów wojny, którą pani Helena starała się znosić godnie i pogodnie i myślę, że temu swojemu szczęściu potrafiła skutecznie pomagać: nigdy nie traciła wiary we własne siły, energiczna, zaradna, mogła sobie pozwolić na optymizm w każdej sytuacji.

— Za ostatnie pieniądze kupiłam materiał, krawiec uszył mi z niego kostium. — Nikt nie wierzył, że źle nam się powodzi i że na co dzień chodzę w spódnicę uszytej z worka po soli. Ostatecznie kostium został przerobiony na ubranie do komunii dla syna. — A kiedy córka szła do komunii, pozbierałam gazetę, przez którą Niemcy cedzili benzynę, wyprałam, wykrachmaliłam i uszyłam z tego piękną sukienkę. Ksiądz zaprosił nas na śniadanie: było przyjęcie, ktoś nawet zdjęcie zrobił.

— Szczęście nie opuszczało pani Heleny także w trudniejszych sytuacjach.

— Niemcy zabrali na roboty ciężko chorego szewca z rodziną. Chciałam pomóc pojechałam do Krakowa: siostry ubrały mnie w co miały najlepszego i poszłam do dawnego znajomego, „przerobionego” na Niemca. Wy tłumaczyłam mu, że chory człowiek z małymi dziećmi, to dla Rzeszy tylko kłopot... z powrotem do Rzeszowa udało mi się dowiedzieć, co prawda... nieboszczyka, ale pochowano go przynajmniej, jak chciała żona, w rodzinnej wsi.

Potem jeszcze „szczęśliwa gwiazda” pozwoliła jej samej opuścić bezpiecznie rzeszowską wieś, gdzie historia z szewcem obróciła się przeciwko niej: po wyzwoleniu podejrzewano ją o konszachty z Niemcami...

W tym momencie pani Helena kategorycznie przerywa swą opowieść i przenosi się do kuchni, żeby przygotować coś do jedzenia. Prózne są moje protesty: — stąd nikt jeszcze nie wyszedł głodny. Przy tym stole zbierało się po 20 osób. Dawniej miałam dużą kuchnię w podwórzu, tyle wielkich garów — gdzie to się wszystkim podzieliło? — zastanawia się. — Uprawiałam warzywa, również mało znane — bo ja wszystkiego musiałam spróbować. W tym ogródeczku przed domem miałam 76 gatunków kwiatów. Chowałam świnię, teraz już tylko kury. Ale niech pani spojrz, jakie niosą jajka, często z dwoma żółtkami!

Z kuchni do kuchni

W przypadku pani Heleny, drugi etap dla kobiety-gospodyni domowej — był właściwie przeniesieniem jej pracy zawodowej na grunt prywatny... — Po wojnie zaczęłam pracę w szkole dokształcającej dla powojennej zbieraniny dzieci i dorosłych, później, aż do emerytury pracowałam w szkolnictwie zawodowym w Cieluchowie jako instruktorka gospodarstwa domowego. Jednocześnie przez cały czas, nawet jeszcze na emeryturze, prowadziłam kursy i pokazy żywieniowe w Lidze Kobiet, „Praktycznej Pani” — tak zresztą moje kursantki mnie nazywały. I sama stałam się „doksztalcacem”: ta dziedzina życia nie zna granic umiejętności. Kiedyś wzięłam od uczennicy przepis na kiskę kaszubską, jaką robiła jej mama. Jadło się ją na zimno, do chleba, ja jednak pomyślałam, że można podawać ją na gorąco, z sosem grzybowym — bo grzybów tu w bród — i z surówką z kiszzonej kapusty. Z dniem tym moi uczniowie wystar-

towali w konkursie ogólnopolskim w „Domu Chłopa” i zdobyli nagrodę. W innym konkursie dostałam, nie pamiętam, II czy III nagrodę, a muszę dodać, że startowali w niej również zawodowcy, i potrawy były bardzo wyszukane.

Patrzę poządlwym wzrokiem na „Kuchnię Polską”, (nagrodę w jeszcze innym konkursie), której sama się jeszcze nie dorobiłam. — Zapiszę pani w spadku! — śmieje się pani Helena. Moje córki i wnuczki wszystkie już ją mają, zresztą jako gospodynie przerosły mnie o głowę. Córka nawet koniak potrafi zrobić... z wina. Siostrzenica z Krakowa robi takie grzyby marynowane, że jej goście niczego innego nie chcą u niej jadać. Niech pani spróbuje, same prawdziwki, robione na słodko. Nawet mój wnuk chętnie zagląda do kuchni, a najlepiej wychodzą mu bezy. Ja sama niewiele już mogę zrobić, od kiedy złamałam obie ręce i stare kości źle się zrosły. Mam kłopoty z ciśnieniem, potrafię upaść nagle na ulicy — ale, wówczas tylko patrzę, czy ktoś tego nie widzi. Kiedyś zrywaliśmy gruszki, przysiadłam na skrzynce i nawet nie wiem kiedy spadłam w trawę. Czuję, że nie mogę wstać o własnych siłach, usiadłam więc i udaję, że tak mi to dobrze... Córka krzyczy na mnie: co za pomysł żeby siaład na zimnej ziemi? Podniosła mnie, niczego nie zauważyła... Ostatnio chorowałam. Kiedyś po wyjściu córki zamknęłam drzwi na zasuwę. Dowlokłam się do łóżka, ale uświadomiłam sobie, że później nie wejdzie do mieszkania, choć ma klucze. A tu nie mogę zrobić ani kroku. Klękam na dywaniku i tak przez pokój, kuchnię dotarłam do korytarza, uczepliłam się klamki, wstałam i odciągnęłam tę zasuwę. — Inaczej musiałby wybić okno!

Pani Helena często się śmieje. A śmiech ma młodzieńczy, zaraźliwy. Pomyślałam, że jest w nim recepta i na ponurą pogodę, i na „ciężkie czasy”, i na pokonywanie nasilających się z wiekiem słabości. I pomyślałam też, że choć jej ciało wielokrotnie upadało, to duch — nigdy!

Tego jednak trudno kogoś nauczyć...

Panie Helenie podoba się moja refleksja. — Nie wolno poddawać się losowi — mówi, parząc mocną herbatę i sięgając po kolejnego papierosa...

MAGDALENA KARWOWSKA

Fot. JAN MAZIEJUK

BABSKIE GADANIE

Zupełnie przypadkiem podsłuchałam w pociągu, jak jedna pani drugiej pani opowiadała, że właśnie córkę za mąż wydaje. Córkę pełnoletnią, nie żadną tam smarkulę, co to potrzebuje sądowego pozwolenia. I nie byłoby w tym niczego niezwykłego, gdyby nie to, że z dalszej rozmowy tych pań wynikało niezbicie, iż matka panny młodej jest dwa lata ode mnie młodsza (obie zaś urodziłyśmy się w okresie Planu Sześcioletniego, czyli — zeglujemy sobie spokojnie w stronę magicznej czterdziestki). Tylko że moje dzieci są dopiero w wieku przedszkolnym... Ta nieznaną panią po prostu „zaczęła” dużo wcześniej niż ja, co dla naszego pokolenia nie jest wcale takie nagminne: większość moich znajomych rówieśników także ma dzieci raczej małe.

Cóż więc jest lepsze, zważywszy iż posiadanie dzieci to coś w rodzaju „arsztu domowego” na ładnych parę lat? Wyszumieć się za młodo i potem dać się zamknąć, czy też najpierw „swoje” odsiedzieć, by później cieszyć się wolnością?

Aby na tak postawione pytanie jednoznacznie odpowiedzieć, trzeba by wykonać skomplikowane socjologiczne badania, do tego wszakże brak mi kompetencji. Weźmy jednak mnie i tę panią z pociągu. Musiała być bardzo młoda, gdy urodziła swoją córkę — tak więc niewiele miała z życia. Teraz zaś, kiedy córka wychodzi za mąż, także nie liczy na upragnioną swobodę. Córka w ciąży, oczywiście nie ma zamiaru iść na żaden tam wychowawczy urlop, bo przecież „młodzi muszą się szybko dorobić”, wnuczek trafi do niestarej jeszcze babci, która ponadto będzie jeszcze musiała finansowo wspomagać nową rodzinę. Takie są dzisiaj realia, że rodzicom nader trudno pozbyć się dzieci, tym bardziej, że i mieszkani swoich nie mają, zostają w rodzicielskich domach. Wynika z tego, że lepiej jednak, tak jak ja i wielu moich rówieśników, najpierw trochę pożyć, potem wydawać na świat dzieci i odbyć „karę pozbawienia wolności”, a kiedy dzieci zaczną już tzw. samodzielność — wykreślić się od pomocy podeszłym wiekiem i przeróżnymi chorobami.

Rodzice moi i moich rówieśników byli na ogół młodzi, gdyśmy przychodzili na świat. I na ogół byli to bardzo samodzielni ludzie, jak sobie przypominam. Dorabiali się sami i nikt ich finansowo (czy też w naturze albo robociznie) nie wspierał. Nam wieszali klucze na szyi, a do babci to się jeździło od czasu do czasu z wizytą, i nie po to ona była, żeby nas niańczyć, bo wyniańczyła naszych rodziców.

Nasi rodzice byli bardzo dorosłymi ludźmi; dobrze to pamiętam. Nie

sposób było pomylić z daleką własną matką z jakąś studentką, czy też ojca z — powiedzmy — bikiniarzem. Zbyt widoczne były różnice w ubiorze. Ci, którzy mieli już dzieci, ubierali się jakoś inaczej niż wolnego stanu gołowąsy. Pelisy, futra, kapelusze, pończochy nawet w największy upał (bo skoro kapelusz na głowie, to nie mogą być gołe nogi, albo buty bez pięt). Takie to były wówczas sztywne zasady elegancji.

Pokolenie niedoroslých

Ponadto — ojcowie byli jakoś bardziej łysi od naszych mężów, a matki tęże od nas. To naprawdę byli prawdziwi dorośli.

Aż trudno w to dzisiaj uwierzyć, bo tak po prawdzie, to mieli niewiele lat. Kiedy moi rodzice byli w moim wieku, ich córka, czyli ja, chodziła już do klasy maturalnej, podczas gdy ja wychowuję jeszcze przedszkolaki... Pamiętam ich z tamtego okresu — niesamowicie były wówczas wapniaki, Niemen ich drażnił i w ogóle... Ubierali się dokładnie i sztywno tak samo, jak dzisiaj, kiedy już odeszli na emeryturę... Matki miały, co do jednej, trwale ondulację na głowach, a ojcowie czesali się tak, aby całe czoło było widać — jedni do góry, inni z przedziałkiem, o ile w ogóle mieli co przedzielać, czy zgola cesać. Zajmowali się poważnymi sprawami, ale dla nas mieli masę czasu (co było dość uciążliwe z naszego punktu widzenia...). Nigdy nie strzelali im do głowy głupie pomysły i jak dzień długi dawali dobry przykład. Na ogół nie posiadali samochodów i raczej mało mieli pieniędzy. Od czasu do czasu musieli kogoś z nas strzelić w głowę za to, żeśmy się „na świat nie prosili”. To powiedzonko bardzo ich czemuś denerwowało.

Podobno konflikty pokoleń istnieją od zarania ludzkości; mnie jednak wydaje się nieodparcie, że ten nasz był pierwszy — a jeśli nawet nie pierwszy, to z pewnością najsilniejszy. I to do tego stopnia, że po wsze czasy chyba będziemy się identyfikować z pokoleniem dzieci, choć osiągnęliśmy już wiek wapniaków. Wciąż jakoś nie możemy wyłazić z tych swoich dzinsów i tenisówek, nasi mężowie wkładają garnitury i krawaty z najwyższym wstrętem, my zaś niezbyt chętnie robimy sobie trwałą. Nasze dzieci z daleką mogą nas pomylić z jakąś młodką z sąsiedztwa — i mofolaty, i czterdziestolatki noszą dziś takie same tureckie kurtki, nasi mężowie wciąż noszą grzywki, jak w epoce Beatlesów. Zauważcie, z jakimi oporami nosimy kapelusze! Chociaż już nie obowiązują dawne zasady elegancji — przeczytałam gdzieś w żurnalu, że kapelusz nosi się wszędzie, do wszystkiego i o każdej porze dnia. Ale coś z dawnych zasad maminych we mnie drzemie, bo jednak wydaje mi się, że to śmieszne wkładać kapelusz i iść w nim o świcie do pracy, na przykład w urządzie gminy. A już na pewno nie włożyłabym czarnego kapelusza do granatowej kurtki ze sztucznego mięsa (widziałam niedawno taki zestaw). Kiedy spostrzegłam tak wystrojoną osobę, to wiem, że jej matka kapelusza na pewno nie nosiła.

Nasi rodzice wiedli dość rozległe życie towarzyskie (oto odpowiedź na pytanie, jakie ktoś mi niedawno zadał: „Co ludzie robili, jak nie było telewizji?”) zapraszali sąsiadów i sami też do nich chodzili. Nie pamiętam wszakże, by byli z nimi na ty, czy też nazywali ich w rozmowie „dziewczynami” i „chłopakami”. Znajomi rodziców to byli mężczyźni i kobiety. Panowie i panie. Dorośli. Wapniaki.

My zaś teraz — ze wszystkimi na ty. Pełno wśród nas dziewczyn i chłopaków. Uważamy, że nasze dzieci „na świat się nie prosiły” i staramy się im wszystko zapewnić... prócz naszego czasu. Zachowujemy się czasem niezbyt statecznie, a niektórym z nas strzelają do łbów takie pomysły, że głowa odpada. Trudno też mówić o dawaniu dobrego przykładu, skoro stale jesteśmy czymś zdemenerowani. Ale i problemy mamy niemale. Iluż z nas nie ma jeszcze własnego mieszkania? A ilu jeszcze korzysta z rodzicielskiego dofinansowania? Takie pytania można by ciągnąć w nieskończoność.

Kiedy my wreszcie dorośniemy? Przecież — kiedy oni byli w naszym wieku...

TAC

Czytając prace konkursowe

Od trzech lat przewodniczącą jury konkursu literackiego im. Mieczysława Strykowskiego w Łęborku. Konkurs ma charakter ogólnopolski, obejmuje poezję i prozę. Tematyka w pierwszych konkursach zamykała się w problemach kaszubskich i pomorskich, potem rozszerzono ją na „szeroko pojętą kulturę pomorską”, czyli jest niemal dowolna. Plon tegorocznego konkursu jest szczególnie obfity, prace nadesłano ze wszystkich regionów Polski: z Rzeszowa, Lublina, Krakowa, Białegostoku, Olsztyna, Gdańska, Torunia, Szczecina, Poznania, Wrocławia, Katowic, Łodzi i Warszawy. Prace są mocno zróżnicowane: warte uwagi i bezwartościowe. Przy czytaniu ciągle myślę o ich anonimowych autorach. Wszyscy oni mają tę samą ambicję: za wszelką cenę przebić się przez barierę niałości, zostać pisarzem, być kimś, zabłysnąć w szerokim świecie. Razi mnie ta naiwność, a przecież sam kiedyś byłem takim! Wiele razi i wywołuje coś w rodzaju litości. Zawile i kręte bowiem drogi do sławy. A w zawodzie pisarza dziś wręcz beznadziejnie.

Kiedyś mówiło się, że artyści obdarzeni są talentem, posiadają wyjątkowe zdolności, wyróżniają się wśród innych. Zapewne coś w tym jest, jakiś zakodowany pierwiastek zainteresowań artystycznych, obsesja na jakimś tle. Ale czy tego wystarczy? Wielu ludzi posiada zdolności twórcze, lecz tylko niewielu realizuje je. Wpływa na to wiele czynników: dom rodzinny, środowisko w jakim się wychowuje, szkoła, perypetie życiowe, choroby, urazy psychiczne, niespełnione nadzieje, utrata bliskich, rozpacza lub zadowolenie. Twórcy wywodzą się często ze skrajnych warstw społecznych: dzieci bogatych rodziców, nie obarczone troską o byt, marzące o celach wzniosłych i dzieci rodziców przegranych, borykające się z trudnościami, cierpiące nędzę, wpadające w rozpacz i załamania psychiczne. Te skrajne warunki i stany psychiczne mobilizują wewnętrzne ukryte możliwości „radzenia sobie” lub wręcz pokazania innym, że „jeszcze zobaczycie, co potrafię!”. Zakodowane zdolności, aby wyzwolić się — wyma-

gają samozaparcia i nieustannej pracy nad sobą, o czym nie wszyscy wiedzą. Można przytoczyć wiele przykładów kiedy pisarz po dobrym starcie zaczyna obniżać swój lot, aż do upadku — zaprzestania pisania albo pisania na takim poziomie, że nie nadaje się do publikacji.

Obserwując rozwój dziecka jak-że często dostrzegamy w nim ciągłe zmiany zainteresowań. Najpierw chce być kierowcą, konduktorem, pilotem (bezplatne podróże), potem sportowcem, mechanikiem, wreszcie lekarzem, wynalazcą, potem... Przy pobieraniu nauki szczególnie znaczenie odgrywa nauczyciel. Sposób przekazu i umiejętność zainteresowania dziecka tą czy inną dziedziną odgrywa kolosalne znaczenie. Uczeń zazwyczaj lubi te przedmioty, które go nie męczą i za które otrzymuje „piątki”. Obniżenie stopni wywołuje niechęć do przedmiotu. Ale zdarzają się przypadki, kiedy przyszły wybitny pisarz ma złą stopnię z przedmiotów humanistycznych. Przyczyną tego zjawiska może być albo traktowanie przedmiotu przez nauczyciela „z obowiązku”, albo też uczeń w tej dziedzinie ma tak szerokie zainteresowania, że wiedzę stara się zdobywać sam, bez narzucanego mu programu.

Rozwój zainteresowań twórczych składa się jakby z trzech okresów: pierwszy, młodzieńczy, szkolny, wynikający z rozbudzonej fantazji, pierwszy spieć psychicznych na tle towarzysko-miłosnym. Drugi okres — kiedy człowiek zaczyna pracować i dostrzegać, że poprzez wykonywaną pracę nie ma szans „przebić się”. Trzeci okres — świadome dążenie do stworzenia czegoś trwałego, co wprowadziłoby go w inny świat i pozostawiłoby po nim ślad. Pierwszy okres — to zapalenie, która zabłyśnie i zgaśnie, przebiega on bezboleśnie, bez urazów psychicznych. Przyjęło się mówić: kto z nas w młodości nie próbował pisać wierszy? Drugi okres jest bolesny i niebezpieczny. Próbuje pisać wiersze, jeżeli spotykają go niepowodzenia uważa, że z winy innych albo z braku odpowiednich warunków. Buntuje się,

staje się niezdolny dla otoczenia, jest zawistny, zaborczy lub wpada w depresję, izoluje się od świata, zamyka się w sobie. Pisanie nikt nikogo nie nauczył, nie pomaga też krytyka literacka. Wyzwalając wewnętrzne zasoby wiedzy i umiejętności adept sztuki angażuje się emocjonalnie, co jeszcze bardziej oddala go od samokrytycyzmu tak niezbędnego twórcy. Wiara w swe możliwości, przekonanie, że to co robi jest dobre, izoluje go od społeczności, skazuje na siebie samego. Niepowodzenia w tym okresie mogą doprowadzić do psychicznego załamania się, nawet do tragedii.

Trzeci okres — to twórczość dojrzałego człowieka, świadomego, krytycznie ustosunkowanego do siebie i otoczenia. Okres ten jest obfity w dorobek twórczy, jednym przynosi rozgłos i fortunę życiową, drugi satysfakcjonuje samą myśl o tym, że to co pisze pozostanie po nim i kiedyś samo się przebieje w szeroki świat.

Nieliczni przeżywają też czwarty okres, który dotyczy raczej psychicznego stanu, niż samej twórczości.

Pisarz w starszym wieku, wierzący w swe posłannictwo zaczyna rozumieć, że otaczające go życie jest silniejsze od jego woli i dzieł, które stworzył, że on odejdzie a wszystko pozostanie tak jak było. Albo, że życie się kończy, a dzieło, o którym marzył nie zostało napisane, czyli nie osiągnął tego, co było celem jego pracy. W tym momencie może nastąpić kryzys jeszcze groźniejszy niż w drugim okresie. Znamy z historii losy pisarzy, którzy palili swój dorobek twórczy, przestawali pisać, uciekali od rodziny i domu, kończyli życie samobójstwem. Ale to już odrębny temat, bardziej dotyczy psychiki człowieka niż samej twórczości.

Na konkursy literackie w zasadzie przysyłają swe utwory ludzie, których zaliczyłbym, właśnie do drugiego okresu. Ci z pierwszego — jeszcze nie są pewni siebie, wstydzą się ujawniać, czekają. Chociaż zdarza się, że młodzieńcze wypracowania trafiają do rąk jurorów. Z trzeciego okresu na

konkursy prac trafia mało. Szanując się pisarz nie potrzebuje „sprawdzenia”, nie chce narażać się na kaprysy jurorów.

Jakże są różne nadsyłane utwory! Od młodzieńczych wierszyków miłosnych poprzez pracowite twory grafomańskie aż po utwory ambitne, warte zastanowienia się. Za każdym z nich kryje się żywa istota nieznanego pici, o nieokreślonym wieku, nieznanym przygotowaniu. Anonim. Można się tylko domyślać, zgadywać, że ten wiersz napisała zakochana dziewczyna, albo chłopak, że ten gruby zestaw napisał jakiś schizofrenik, którego urojenia niejednokrotnie tworzą naturalną metaforę: wśród nadsyłających znajdzie się też i emeryt, który uważa, że jego doświadczenia życiowe nie można skazać na zapomnienie, że zainteresują one następne pokolenia. Są też pewni siebie „profesjonalisci”, którzy nauczyli się sztuki wierszopisania i nie pomijają okazji, aby coś z tego mieć, nagrodę lub wyróżnienie. I chociaż daleko jesteśmy już od socrealizmu niektórzy wierzą, że peany na cześć jakiejś budowy socjalistycznej otworzą im drogę do uznania i publikacji. Ile w tym jest bluffu, ile prawdy, co jest literaturą, co nią nie jest?

Oto U-235 (godło) pisze o budowie elektronów atomowej w Żarnowcu. Za godłem kryje się wytrawny autor, obdarzony „lekką” piórami, ale temat przerasta jego możliwości. Chwyta się więc on wszystkiego: i rycerzy w świecącej zbroi i wiejskich zabaw i bijatyk, i stachanowca w polskim wydaniu, i naukowych formulek, i „Solidarności”, i ochrony środowiska. Brakuje tylko w tym sensu i znajomości przedmiotu.

„Gelsomina” natomiast w swojej powieści — dzienniku jest sobą i poza sobą, jest szczerą i fałszywą. Opisuje swego męża, swoje dziecko i samą siebie. Nie szczędi nikogo. Ale czy literatura musi być prawdą? Fikcja też może być prawdą, jeżeli autor przedstawi ją przekonująco. Pod tym względem nie ma reguł, nie ma prawideł, nie ma recepty. Autor sam decyduje, jaką tematykę i formę zastosować i tylko od niego zależy czy powstanie z tego literatura.

Bardzo niebezpieczne jest w literaturze, szczególnie w poezji, moralizatorstwo, kiedy autor poucza czytelnika lub wyjaśnia mu rzeczy banalne. Oto fragment nadesłanego na konkurs wiersza pt. „Sposób na życie”:

Bo ten jest górą —, co jest szybszy nieco

I co to bardziej umie piąć się w górę

Było do celu, chociażby po trupach,

Choćby się nawet oblec w czyją skórę.

Nie ważne przepisy, nie ważne zasady

Byleby wciąż kieszni była zapelniona.

Święta prawda! — Ale — nie literatura.

I jeszcze jedna perelka z nadesłanych wierszy:

Nad polskim małym morzem

Siedzi i płacze

Płacz z morza głupoty

Wypływającej z Polski

Nic dziwnego, że płacze, bo i mnie, czytając takie wiersze chce się płakać. Autorzy tych wierszy zapewne uważają, iż odkryli Amerykę, napisali coś, co chwyci czytelnika za serce. Nieprzyznanie im nagrody przypiszą brakom kompetencji jurorów lub załatwieniu sprawy „po kumotersku”. Sam niejednokrotnie powtarzałem, że piszący musi wierzyć w wartości tego, co pisze. I oni wierzą, wysyłają swe prace na konkursy, czekają na wyniki, oceny... Ale czyste ziarno się nie rodzi: aby je znaleźć trzeba poszperać w plewach.

Choć w obecnej sytuacji w Polsce poetom jest ciężko, nie załamują się, piszą, czasami nawet bardzo dobre wiersze. I to napawa nas optymizmem.

STANISŁAW MISAKOWSKI

W zbliżeniu

Postulowana od lat idea widowiska Teatru Rzeczypospolitej doczekała się wreszcie realizacji. Pierwszym zarejestrowanym przedstawieniem będzie głośny spektakl „Wiosna Narodów w cichym zakątku” Adolfa Nowaczyńskiego, wyreżyserowana przez Tadeusza Bradeckiego i wykonaniu krakowskiego zespołu Teatru Starego.

Jak różne problemy mają różne rządy (jakże odległe od kłopotów naszych ministrów), niech świadczy następująca ciekawostka polityczna. Otóż nowy prezydent Sri Lanki (dawny Cejlon) zarządził, żeby posiedzenia Rady Ministrów rozpoczynały się modlitwą. Ponieważ w Radzie zasiada 13 buddystów, 2 hindusów, 2 muzułmanów i 34 katolików wszyscy oni będą odmawiali różne modlitwy zgodnie ze swoją wiarą.

Bestsellery „Czytelnika” na ten rok to „Malowany ptak” Jerzego Kosińskiego i „Recydywista” Kurta Vonneguta. Wydarzeniem edytorskim będzie też wydanie „Dzieł wybranych” Jerzego Andrzejewskiego (10 tomów), a najbardziej interesujące wznowienie to m.in. „Zły” Leopolda Tyrmanda, „Kalendarz i klepsydra” Tadeusza Konwickiego i „Został u czty bogów” Igora Neverlego.

Na półce „Zbiżeń”: „Dzieła wszystkie” Ryszarda Kapuścińskiego. Słynnego pisarza i dziennikarza przedstawiać nie trzeba. Autor „Cesarza” jest jednym z najpopularniejszych autorów w ankietach prestiżowych pism (m.in. „Newsweek”). Szkoda tylko, że „Dzieła” Kapuścińskiego wydano w mikroskopiowym, bo 30-tysięcznym nakładzie.

Idziemy do kina! „Ran” — film Akiry Kurosawy, słynnego japońskiego reżysera. Opowiada o nim dzieło monowładcy Monotari Mori i jego trzech synów. Nawiazując do szekspirowskiego „Króla Leara” stworzył Kurosawa film o ludziach opętanych żądzą władzy, film o gwałcie i przemocy, mordach i rzezi, okrutny, mądry i doskonały artystycznie utwór.

Opinie! Jerzy Waldorff o Bogusławie Kaczyńskim: „Gdybym umiał mówić tyle i tak szybko, kandydowałbym na posła, żeby w Sejmie nie dopuścić do głosu premiera”.

Poglądy! Interesujący wywiad z prof. Przemysławem Wójcikiem, wicedyrektorem Instytutu Badań Klas Robotniczej Akademii Nauk Społecznych zamieścił tygodnik „Wprost” (prof. P. Wójcik jest współautorem zakończonej w 1987 r. ośmiotomowej edycji monografii „Położenie klasy robotniczej w Polsce”). Profesor mówi m.in. „Dzisiaj przede wszystkim trudno mówić o przywilejach partyjnych. Ale kadra kierownicza w partii broi się. Mimo wszystkich uchwał KC o zmniejszeniu o połowę lub 1/3 stanowisk nomenklaturowych, ich liczba nie maleje. Okazuje się, że nigdy jeszcze na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat nie było ich tyle, ile jest obecnie. Toczy się prawdziwy bój biurokracji o zabezpieczenie socjalne w postaci nomenklatury. Świadczy to po prostu o tym, że w partii walczą sprzeczne tendencje, że różne siły traktują je instrumentalnie”.

Zapraszamy do Smółdzina

Niedawno w Smółdzinie przekazano do użytku, po przeprowadzeniu remontu i modernizacji siedzibę Gminnego Ośrodka Kultury. W jego wnętrzach mieści się biblioteka, pracownia plastyczna, muzyczna, teatralna, klub „Ruchu”. Szanujący się dom kultury musi dzisiaj mieć również własne studio komputerowe. W Smółdzinie tajników obsługi komputerów uczą dzieci i młodzież nauczyciel z miejscowej szkoły — Piotr Szumko. Było na otwarciu wesoło, bo występowały zespoły dziecięce ze Smółdzina i Gardny Wielkiej, a śpiewały też panie z Kofa Gospodyrów Wiekich w Gardnie Wielkiej. Było też... smacznie, o co postarały się panie z KGW w Smółdzinie, które przygotowały na tę okazję świetne wyroby cukiernicze. Żeby tak było zawsze!!!

Fot. Jan Maziejuk





Z sosnowego matecznika

Niewiele takich drzew pozostało w naszych lasach — i dlatego są wprost bezcenne. Wyselekcjonowane drzewa iglaste dostarczają corocznie szyszek, dając materiał do hodowli.

Jedno z gospodarstw nasienne-szkółkarskich mieści się w leśnictwie Jutrzenka (Nadleśnictwo Bytów). Towarzyszyliśmy Jerzemu Wierbińskiemu ze Studzienic i Zenonowi Ostafijowi z Kłaczna, którzy zbierali akurat szyszkę ze szczytów sosen. Przedtem pracownicy ci przeszli specjalne przeszkolenie, bo — jak widać na zdjęciach — muszą się poruszać na drabinie i zachowywać wysoko w powietrzu co najmniej tak jak strażacy podczas akcji. Oczywiście, są odpowiednio ubezpieczeni, ale ostrożności nigdy za wiele. Z dołu obserwuje ich pracę Henryk Karcz. Dziennie podczas tych leśnych zniw (trwają one od grudnia do połowy marca) zbierają we dwóch do 20 kg szyszek, które następnie wysyłane są do wyluszczeni nasion w Białogardzie.

Fot. JAN MAZIEJUK



Wiatr przyjacielem czy wrogiem?

Francuzi mają mistral — silny, suchy, ale chłodny wiatr dokuczający głównie zimą i wiosną na śródziemnomorskim wybrzeżu. Włosi wiatr o podobnym charakterze nazywają tramontana. Dla Egipcjan największe utrapienie od kwietnia do czerwca stanowi chamsin — gorący suchy wiatr niosący chmury drobnego pyłu z pustyń i poprzedzający wylew Nilu. Włosi z południa Italii nazywają go sirocco.

Szwajcarzy doświadczają wpływu fenu — silnego, ale ciepłego i suchego wiatru idącego od grzbietu gór ku dolinom. Kanadyjczycy wiatr taki nazywają chinook. Trwa on zwykle 3—4 dni, ale mocno daje się we znaki ludziom, gdyż w ciągu kilku-kilkunastu minut w zimie może podnieść temperaturę o 10—20 stopni, a nawet więcej. Nasz halny nie jest, co prawda, tak ciepły, ale i on wywołuje u ludzi wiele dolegliwości fizycznych i psychicznych, gdyż gwałtownie zmienia warunki klimatyczne: ciśnienie, temperaturę i wilgotność powietrza.

Czynnik ten ma istotny wpływ na samopoczucie ludzi, zwłaszcza nie w pełni zdrowych. Najczęściej za złe samopoczucie obwiniamy niskie (lub wysokie) ciśnienie i temperaturę zbyt (wysoką lub zbyt niską) zapominając, że istotną przyczyną zmian jest sam ruch powietrza. Wszystkie silne wiatry nie są korzystne dla zdrowia człowieka. Gdy wieją — do krwi uwalniają się duże ilości serotoniny — hormonu stresowego, regulującego czynności układu sercowo-naczyniowego, wpływającego na przemianę materii. To zachwianie równowagi hormonalnej objawia się nadciśnieniem, trudnościami w oddychaniu, alergiami, bólami głowy, kołataniami serca, mniejszą sprawnością. Przede wszystkim jednak duży wiatr wywołuje rozdrażnienie i niepokój, a niekiedy tak silne depresje, że kończą się one samobójstwem.

Nienormalne wręcz zachowanie się ludzi spowodowane silnym wiatrem tłumaczy się również niekorzystną jonizacją powietrza (zbyt dużo jonów dodatnich przed nadejściem wiatru) oraz fizycznym charakterem zjawiska. Otóż wiatr, zwłaszcza gwałtowny, to akustyczne fale, niesłyszalne, choć odbierane przez ucho człowieka. Można je przyrównać do wibracji powietrza, przed którymi nie chronią nawet ściany domów. Drgające powietrze wywołuje jednak rezonans w wielu narządach wewnętrznych zakłócając ich działanie, co objawia się np. migreną, dusznością, bezsennością.

Jeszcze gorzej toleruje organizm silny wiatr przy dużej wilgotności powietrza, co często występuje jesienią. Nawet jeśli temperatura otoczenia nie jest bardzo niska, ustrój musi zużywać wówczas dużo kalorii na ogrzewanie i na utrudnione suszenie pocącej się skóry. Może to doprowadzić do znacznej utraty ciepła i spowodować przeziębienie. Wzrasta też wówczas niebezpieczeństwo infekcji, gdyż osłabiony organizm bardziej jest podatny na bakterie i wirusy przenoszone przez wilgotny, gwałtowny wiatr.

Znacznie korzystniejszy dla samopoczucia jest wiatr niezbyt silny, ale suchy wiejący zarówno latem, jak i zimą. Przewietrza on zadymione i zapyłone miasta oraz... nasze płuca, zwiększając we krwi zawartość tlenu. Dzięki temu organizm nabiera sił zarówno do zwalczania zanieczyszczeń środowiska jak i elastyczniej reaguje na zmiany pogody, które tak dają się we znaki jesienią i wiosną. O dobroczynnym wpływie słabego wiatru warto więc pamiętać i wykorzystywać wolne chwile na spacerach. Także wówczas, gdy wieje halny. Skoro przed jego wpływem nie chronią mury mieszkania, lepiej spędzić czas wolny w kontakcie z łagodzącą wietrzne stresy przyrodą.

MAREK KUŹNIAK

ANNA LESZKOWSKA

OD ADELI DO ZYGMUNTA

Czy Messalina jest nieprzyzwoita?

Radość rodziców, kiedy przychodzi na świat potomek nie zna niekiedy granic. Zdarza się, że znajduje ona ujście w wyszukiwaniu dla nowo narodzonej latorośli możliwie najbardziej oryginalnego imienia.

Prawo o aktach stanu cywilnego mówi tylko tyle, że dziecku nie może być nadane imię ośmieszające, nieprzyzwoite, w formie zdrobniałej bądź nie pozwalające odróżnić płci. Poza tym nie można nadawać więcej niż dwóch imion.

Urzędy stanu cywilnego, w których dokonuje się zgłoszenia urodzin i rejestruje imię dziecka czę-

sto wiodą spory z autorami dziwnych pomysłów. Mają one obowiązek spolszczać imiona zagraniczne (obco brzmiące). Kiedy więc przed laty pewien wielbiciel prezydenta de Gaulle'a chciał na jego cześć nadać synowi imię Charles musiał się zadowolić jego polskim odpowiednikiem, Karolem. Podobnie Johna zamienia się na swojego Jana. Co jednak uczynić, gdy rodzic upiera się przy Ronaldzie lub Natsuko?

Imiona zagraniczne często pochodzą od bohaterów najbardziej popularnych w danym okresie seriali telewizyjnych. Klasycznym przykładem była nie tak dawno

Izaura. To jednak wcale nie największy problem. Niektórzy koniecznie chcą mieć w domu Kacencjusza, Kumarynę, Cyriaka, Sydonię, Askaniusza, Karmenę czy Symplicjusza. Kto rozstrzygnie czy Adonis to imię ośmieszające a Messalina nieprzyzwoite?

Spory rodziców z urzędami powstają też niekiedy na tle zaleceń językoznawców, którzy uważają, że język polski nie zna połączeń „tt” i „ll” oraz, że nie należy stosować znaków zanikających, jak „v” i „q”. Zalecenia te nie stanowią jednak obowiązującego aktu normatywnego. Dlatego możemy wybierać między preferowaną

przez urzędników Wioletę i Arletę, a Wioletę i Arletę.

Fantazję, niekiedy nawet nadmierną, wykazują tylko nieliczni rodzice. Zdecydowana większość kieruje się panującą modą. Tak więc pewnego dnia 80 proc. rejestrowanych we wrocławskim urzędzie chłopców otrzymało imię Łukasz. Oni też królują wśród nowo nadawanych imion w całym kraju obok Marcinów, Piotrów, Pawłów, Kamilów i Michałów. U dziewczynek największą popularnością cieszą się Sylwie, Karoliny, Agnieszki, Anny, Pauliny, Magdaleny i Zofie. Prawie nie spotyka się już Stanisławów, Kazimierz, Wa-

clawów, Józefów ani też ich żeńskich odpowiedników. Zapomniane są już niegdyś spotykane imiona, jak Tekla, Ksawery, Erazm, Ambroży, Klementyna czy Kungunda.

Noworodki na to jakie imię przez całe życie będą nosiły wpływu nie mają. Życie ubarwiają im i sobie rodzice, których fantazja często nie zna granic. Biegają więc na podwórkach Wadim, Gabor, Martin, Achilles i Armando. Czy posiadacze wymyślonych imion kiedy dorosną, będą wdzięczni rodzicom za to, że zawsze wyróżniali się wśród rówieśników? Warto się nad tym zastanowić przed powzięciem decyzji.

W OBLICZU PRAWA

Małe miasteczko D. przez 10 miesięcy w roku jest ciche i spokojne. Ożywa tylko w okresie sezonu letniego, gdy ścigają tu wczasowicze. Jeszcze w maju mało co tu się dzieje. Popołudniami ludzie pracują w ogródkach, młodzież przechadza się główną ulicą, oglądając po raz setny te same wystawy sklepowe. W D. ludzie się znają, wiedzą o sobie dużo i wszystko co narusza status quo szybko rozchodzi się „pocztą pantoflową”.

Tego majowego popołudnia senną atmosferę miasteczka zakłóciła syrena wozu strażackiego. Później mieszkańcy usłyszeli jeszcze dwa razy wibrujący sygnał pędzących samochodów: karetki pogotowia i radiowozu MO. Wszystkie kierowały się w spokojną zawsze uliczkę, obsiadłą domkami jednorodzinnymi i zatrzymały się przed domem Antoniego i Marii B. Już po kilkunastu minutach miasteczko obiegła sensacyjna wieść: syn podpałił ojca i chciał wszystkich wymordować. Zabrała go karetka...

W domku państwa B. rzeczywiście doszło do dramatu. Jego epilog rozegra się przed sądem.

Antoni i Maria B. pochodzą z dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. W 1946 roku repatriowali się do Polski i osiedli w D. W zamian za pozostawione mienie otrzymali domek jednorodzinny, wprawdzie bez luksusów, ale porządną, murowaną, z bieżącą wodą, światłem elektrycznym i kanalizacją. Przez ponad cztery dziesiątki lat żyli zgodnie i przykładnie, choć im się nie przelewało. Wychowali pięcioro dzieci, z których czworo najstarszych „poszło w świat”. Przy rodzicach został najmłodszy, Zdzisław, ale i ten wkrótce założył własną rodzinę. Dzieciom wiodło się dobrze, z wyjątkiem Bogumiła, który sam się

Nieudacznik wystawia rachunek

bie nazywał z goryczą „nieudacznikiem”. Po prostu pech przesłał go od niemowlęctwa. Kiedy miał sześć miesięcy przeszedł zapalenie opon mózgowych. Wprawdzie lekarze zapewniali, że choroba nie pozostawiła śladów, ale późniejsze trudności w szkole Boguś tłumaczył sobie przebyłą chorobą. Gdy już dorósł i poszedł do pracy — spadł z rusztowania. Wprawdzie wypadek nie był groźny dla życia, ale okazało się, że Bogumił jest chory na padaczkę. Rozpoczęło się leczenie, które wprawdzie przyniosło wyraźny skutek, ale utwierdziło go w przekonaniu, że jest prześladowany przez los. Wstydził się swojej choroby, ukrywał ją. Nawet przed narzeczoną. Pobrali się i kilka lat żyli szczęśliwie. Gdy jednak ataki wystąpiły ponownie — żona wystąpiła o rozwód. Bogumił wrócił do rodziców.

Jakby przeciwieństwem starszego brata był Zdzisław. Wszystko mu się darzyło. Miał dobry zawód frezera, szanowali go przełożeni, lubili koledzy. Nawet powodzenie u dziewcząt miał niebywałe. Ożenił się też szczęśliwie. Na żonę wybrał dziewczynę ładną i gospodarną, która zaskarbiła sobie uznanie teściów. Urodził się im najpierw syn, a w dwa lata później córka. Też jak na zamówienie.

Domek państwa B. miał pięć pokoi. Trzy na parterze i dwa na piętrze. Na parterze mieszkali rodzice z Bogumiłem, na piętrze młodzi małżonkowie — Zdzisław i Alicja oraz ich dwie pociechy.

Bogumił ze względu na swój stan zdrowia (okazało się, że ma także wadę serca) uzyskał rentę inwalidzką. Siedział więc w domu, obserwował życie brata i bratowej, porównywał je ze swoim. Te porównania zawsze wprowadzały go w nastrój przygnębienia.

— On ma wszystko, ja nic... — mówił sobie. I dodawał, że to jest właśnie niesprawiedliwość losu, która tak traktuje rodzonych braci.

W takich chwilach siedł do

miasta, wpadał do restauracji na „setkę”, choć lekarze kategorycznie zabraniali mu spożywania alkoholu.

Pałił namiętne papierosy. — Tylko to jedno mi zostało — mówił, — bo jestem prawdziwy nieudacznik...

Jak każdy namiętny palacz, gardził zapalnikami, które grzechoczą w kieszeni i kończą się akurat wtedy, gdy trzeba zapalić. Kupił sobie gazową zapalniczkę. To ona stała się przyczyną dramatu w majowe popołudnie.

Tego dnia pomagał ojcu przy pracach w szklarni aż do obiadu. Obiad w domku państwa B. był zawsze wspólny. Drażliwa i tragiczna w skutkach rozmowa zaczęła się przy wspólnym stole.

— Pomyśleliśmy z ojcem — powiedziała matka — że dobrze będzie, gdy my w Bogusiem przeniesiemy się na górę, a dół oddamy Zdzisławowi. On teraz ma już dużą rodzinę, a nam wystarczy jeden pokój. W drugim zamieszka Boguś...

Bogumił słuchał tego ze zniecierpliwieniem. Nie skończywszy obiad powiedział tylko — „nie!” i wyszedł na podwórze.

Gdy po pewnym czasie wyszedł tam ojciec, Bogumił siedział ponury na ławeczce. Ojciec próbował nawiązać do przerwanej rozmowy nalewając benzynę do swego „komara”.

— Pomyśl, przecież to twój brat. Ty jesteś sam, on ma rodzinę, dwoje małych dzieci...

Bogumił zerwał się z ławki, odebrał ojcu karnister, zaczął polewać benzyną motorower. Gdy ojciec chciał mu przeszkodzić — rzucił przez zaciśnięte zęby:

— Odejdź, bo zabiję!

Polat „komara” dokładnie benzyną. Wyjął zapalniczkę i zapalił.

Stał i patrzył na płonący motorower. Później wziął łopatę, karnister i wszedł do domu. Po chwili rozległ się brzęk tłuczonych z furii szyb.

— Wychodzić! Wszyscy! — krzyczał.

Rodzina zachowywała się jakby otepiała. Nikt nie starał się przeszkodzić w dziele zniszczenia. Wszyscy w pośpiechu opuszczali dom. Bogumił zaś po wybiuści wszystkich szyb polat dywan benzyną z karnistera i znów użył swojej gazowej zapalniczki. Buchnął ogień.

Ojciec stał wciąż w tym samym miejscu, gdzie syn odebrał mu karnister. Kobiety zaczęły zawozić. Bogumił po wyjściu z płonącego domu rzucił się z łopatą na brata... Nadbiegli sąsiedzi.

To sąsiedzi pierwsi zaczęli ratować dobytek, wynosić sprzęty, gasić pożar. To oni wezwali straż pożarną, milicję i karetkę pogotowia. To oni widząc co się dzieje schwytywali i związali szamocącego się Bogumiła...

Bogumił A. został skierowany na obserwację do szpitala. Biegli orzekli, że w chwili popełnienia przestępstwa, o którym mówi artykuł 138 kodeksu karnego („Kto spowodował pożar, który zagraża życiu lub zdrowiu ludzi albo mieniu w znacznych rozmiarach, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3”) miał w znacznym stopniu ograniczoną zdolność rozumienia czynu i kierowania swoim postępowaniem. Tę opinię sąd z pewnością weźmie pod uwagę podczas rozprawy.

AGNIESZKA MAJ

— Podobno teraz wszystko mają stawiać z głowy na nogi...



Rys. Małgorzata Józwiak

Czy latem będzie... lato?

c.d. ze str. 1

Przekazują je potem do biura prognoz (najbliższe) dla nas znajdują się w Szczecinie i Gdyni), które po otrzymaniu dodatkowych informacji opracowują lokalne prognozy pogody. Te z kolei, przekazane do Centralnego Biura Prognoz, po połączeniu m.in. z danymi dostarczonymi przez satelitę, stanowią podstawę sporządzenia prognozy dla całej Polski. W miarę doskonałości „narzędzi” pracy obserwatorów znacznie poprawia się rzetelność prognoz. Coraz częściej biorą one nawet górę nad niezawodnymi do tej pory w przepowiadaniu pogody góralami...

Instytut nie neguje słuszności przepowiedni ludowych i porzekadeł, opartych przecież na wzajemnej zależności zjawisk przyrodniczych. Wymagania, że człowiek poprzez swoją ingerencję w świat przyrody, nie zaczął zmieniać jej naturalnego zachowania. — Dbamy o swój samochód, stosując właściwe paliwo, konserwując go, zużyte części zastępując nowymi, natomiast często korzystamy z dobrodziejstw przyrody całkowicie lekceważąc jej wymagania. Przyroda toleruje to tylko do pewnych granic, dlatego nie możemy mieć do niej pretensji o to, że nie zachowuje się zgodnie ze swymi odwiecznymi zwyczajami i oczekiwaniami ludzi.

Przewidywanie pogody to może najbardziej widoczny, jednak stosunkowo niewielki wycinek działalności IMiGW, polegający w istocie na zmuszaniu i drobiazgowym rejestrowaniu zjawisk hydrologiczno-meteorologicznych, co z kolei — najogólniej mówiąc — służy przewidywaniu zmian zachodzących w klimacie i zasobach wodnych i dostosowaniu do nich działalności człowieka. Wynikiem codziennej pracy obserwatorów są roczniki hydrologiczne i meteorologiczne, w których są zawarte dane o stanach wody, wysokości opadów, temperaturze, ilości rumowiska rzeczno-uzonego przez rzekę. — Nasuwające się wnioski muszą brać pod uwagę planiści. Badania zwane monitoringiem obrazują aktualny stan czystości (wypadałoby raczej powiedzieć: zanieczyszczenia) jezior, wód powierzchniowych i gruntowych. Pomiary hydrologiczne prowadzone w pobliżu Redy pozwolą określić możliwości zaopatrzenia w wodę Trójmiasta.

Slupski Instytut na zlecenie Wydziału Ochrony Środowiska UM wykonał pracę zawierającą ocenę ilościową i fizyko-chemiczną 184 jezior woj. slupskiego, podobne opracowania sporządzone są dla innych województw. Dokumenty te służą głównie do wydawania orzeczeń wodno-prawnych dla planowanych inwestycji (budowy młynów, ośrodków wczasowych, itp.), związanych przede wszystkim z wykorzystaniem rzek i jezior. Częstymi „klientami” Instytutu są biura projektów wodnych melioracji, a zdarza się, że i...

sąd
oraz prokuratura,

k które dla potrzeb śledztwa (pożar,

wypadek drogowy) również odwołują się do opinii i ekspertów wydawanych przez placówkę.

Do niedawna cała, niezwykle drobiazgową dokumentacją sporządzaną była przez obserwatorów w terenie i pracowników Instytutu. — Teraz dyrektor Balicki prezentuje mi chlubę i dumę Instytutu: pracownicy komputerową. W całym województwie nikt nie ma sprzętu tej klasy — podkreśla Włodzimierz Nowak, specjalista ds. informatyki najwyraźniej zadowolony z własnych komputerów, demonstruje działanie jednego z nich. Po postawieniu kilku dodatkowych pytań urządzenie w kilka sekund wyruca z siebie wszystkie, co wie o elementach pogodotwórczych w określonym dniu i godzinie w miejscowości Prabuty. Podstawowe dane dostarczali oczywiście obserwatorzy, ale wiele innych, możliwych do obliczenia i na ich podstawie, inteligentna maszyna wykonała na własną rękę. — Z czasem całe archiwum, przez lata z takim mozołem sporządzane przez ludzi, wchłonie niezawodna i niezwykle pojemna pamięć komputera...

Przy okazji wizyty w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej nie sposób nie porozmawiać o... pogodzie. Jesteśmy właśnie na półmetku zimy, która do tej pory tylko raz obdarzyła nas swoimi urokami i to w połowie listopada, zresztą tylko na jeden dzień. Ta nietypowa zima powtarza się od kilku lat (w ubr. styczeń był jeszcze cieplejszy), po niej mamy zazwyczaj zimne i deszczowe lato. Czy to znaczy, że zmienia się nam klimat?

Świat nauki bardzo ostrożnie podchodzi do tego zagadnienia — zastrzega się dyrektor Balicki. Żeby móc z pewnością stwierdzić zmianę klimatu musi upłynąć znacznie dłuższy czas. Ale, że problem niepokoi znawców tematu świadczy chociażby fakt organizowania w najbliższym czasie sesji nt. „Współczesnych zmian klimatycznych w Polsce”, jak również wystąpienia naukowców na dorocznym spotkaniu z okazji Światowego Dnia Meteorologii.

Czytamy w jednym z nich: „...większość rozważań na temat możliwych zmian klimatu w skali globalnej, wynika z działalności gospodarczej człowieka, pozostaje ciągle w sferze lepiej lub gorzej uzasadnionych hipotez”. — Autorem jest doc. dr Jerzy Pruchnicki, który w innej pracy na ten temat pisze, że gospodarcza działalność człowieka, koncentracja CO₂ w powietrzu w wyniku spalania paliw kopalnych, zagrożenia dla warstwy ozonowej wskutek oddziaływania przemysłu, chemicznego i kosmetycznego, wprowadzanie ponaddwukrotności statków powietrznych, emisja sztucznego ciepła do atmosfery, przedsięwzięcia nawadniające — nie mogą pozostać bez wpływu dla klimatu, ale ich ostatecznych skutków nie sposób przewidzieć. W pracy dr hab. Macieja Sadowskiego znajduje się zdanie, które można uznać za podsumowanie powyższych stwierdzeń: „Jest to cena, jaką człowiek będzie musiał zapłacić za swój rozwój cywilizacyjny”. A to już nie jest tylko hipoteza.

MAGDALENA KARWOWSKA

WYŁĄCZNIE DLA DOROSŁYCH

W spodniach, czy w spódnicy...

Matka pani Niusi W. zna swoją córkę na wylot, toteż nie zdziwiła się gdy ta, po przeprowadzonym rozwodzie, znowu wróciła do dawnego męża. — Ona ma taki charakter, że nie cierpi gdy ktoś obok jest zadowolony i szczęśliwy. Całe jej życie było interesowne, taka już jest i będzie — twierdzi matka Niusi W.

Przed laty pani Niusia zlapała na wianek męża, gdy ten kończył studia. Wówczas panna Niusia, choć miała, jak twierdzono, szalone powodzenie wybrała sobie za partnera człowieka spokojnego i raczej z charakteru solidnego.

Łaził za mną stale i prosił, nie znośiłam go — „takie ciepłe kluchy”, opowiada dzisiaj pani Niusia, gdy zapyta ją o swego pierwszego męża. Ale jako materiał na męża był znakomity.

Solidność i spokój, które tak drażniły panią Niusię, raczej pomagały jej mężowi w rozbiciu kariery. Dość szybko młody inżynier przekształcił drabiny służbowe, aby niebawem otrzymać stanowisko znaczące, miejskie. W owych czasach taka funkcja była nie do pogardzenia. Była to dobra deska do faktycznego odbicia się w górę.

Pozycja męża nobilitowała panią Niusię. Choć studiów nie skończyła uważała, że jest o całe tony książek mądrzejsza od swego partnera. Kierowała nim zawsze, toteż gdy został personą — tym bardziej. Działala na swego małżonka niczym ostroga na konia przed przeskokiem. Wspinał się więc, tak jak tego wymagała żona.

Jak zwykle, w zwyczaju dawnych lat, władza dopiero dawała pieniądze. No przecież nie do ręki bezpośrednio, ale remont, czy zamiana mieszkania na lepsze — tak. Łatwiejsze zakupy również, często zresztą ze specjalnej przeceny...

Pani Niusia brylowała w towarzystwie urodą, wdziękiem i fumami. Dawne swoje szkolne koleżanki traktowała niczym udziałnia księżna. W nowym towarzystwie, które otaczała jej męża robiła wrażenie dobre, bo zabiegała o to, by mąż był uznawany i widziany.

Pani Niusia miała jednak pewien kłopot. Otóż obdarzona bujnym temperamentem musiała zachowywać pozory. Nie było to jednak łatwe. Znalazła jednak na to sposób. Stworzyła wokół

siebie aureę kobiety cierpiącej. Po prostu jeździła często a to do sanatorium, a to na wczasy dla poratowania swego stanu zdrowia. Jeździła sama, bowiem ratowanie zdrowia wymaga poświęceń...

Sierpień 80, który tak okrutnie obszedł się z niektórymi ludźmi przy władzy, niestety, nie oszczędził również męża pani Niusi. Musiał pożegnać się ze swoim stanowiskiem, rozliczać się ze wszystkiego. Nie był to czas dla niego miły. Rozdrażniony, znerwicowany bardziej niż jego żona wymagał medycznych kuracji. A w tym właśnie czasie pani Niusia postanowiła się z nim rozstać. Po prostu zostawiła go z jego kłopotami i trudnościami.

Związała się z nowym człowiekiem. Był to w jej mniemaniu ktoś, przy kim będzie mogła żyć dostatnio i wygodnie. Występując na sprawie rozwodowej, nie oszczędzała swego męża, wywołała mu rozmaite sprawy i sprawy, które go obciążały bardziej finansowo, niż jako sprawcę rozkładu stadła. Przeprowadziła tę operację w sposób nader okrutny i z iście kobiecą logiką bo stawała przed sądem, który jak to u nas sfeminizowany, instynktownie weźmie stronę kobiety.

Rozwód otrzymała z winy małżonka i bazując na tym orzeczeniu przeprowadziła ponadto podział majątku. Przeprowadziła to nader skrupulatnie, pozbawiając małżonka wszystkiego prócz niewykończonych dacz rekreacyjnej, która pozostała nadal współwłasnością.

Po kilku miesiącach zlikwidowała swoje interesy, wyprowadziła się do nowego partnera. Od czasu do czasu, wybierała się do swego matki w odwiedziny, by opowiadać koleżankom o wspaniałościach swego nowego życia, a jednocześnie zresztą i jakby mimochodem wypytując co się dzieje z jej eks-mężem. Gdy słyszała, że zszedł na psy mówiła, że zawsze mu to przepowiadala...

Mimo wszystko, jej były współmałżonek poradził sobie. Odrodził się po zapamięciach politycznych, dostał nową pracę, a co ważniejsze związał się z kobietą, która była zupełnym przeciwieństwem pani Niusi. Takie kobiety są w życiu niczym rodziny w cieście. Nowa partnerka pomagała mu we wszystkim, otoczyła go troskliwością, z pewnością po prostu kochała go, a zakochana kobieta potrafi wszystko.

Ta sytuacja, to nowe odnalezienie się współmałżonka dźgnęło panią Niusię niczym prąd elektryczny. Cudze szczęście zwykle boli najbardziej. Tym bardziej, że nowy towarzysz życia pani Niusi wcale nie był samym szczęściem. Owsem miał pozycję, lecz nie taką. Miał pieniądze, lecz nie takie jakich spodziewała się pani Niusia. Poza tym osadził ją, bo okazał się w tym związku silniejszy.

Pretekstem do powrotu stała się dla pani Niusi wspólna dacz. Już oczywiście wykonana, więc jakby przynależąca więcej niż poprzednio. Obrótka pani Niusia wykreśliła na byłym mężu oświadczenie, że może ją przeznaczyć na działalność turystyczną. Tak się też stało i pani Niusia zakręciła w dawnym mieście, wracając jakby do dawnego stanu. Złożyła też propozycję, że może wrócić...

Ta oferta była tak atrakcyjna dla jej byłego męża, że nie bacząc na nowy związek, zgodził się na powtórkę ze swoją byłą żoną...

Psychologia zna takie przypadki, są one jakby typowe. Natomiast matka pani Niusi twierdzi, że jej córka powinna chodzić w spodniach, a jej były zięć w spódnicy.

EDWARD PAWLAK

Ludziom z wyobraźnią

Smutne są statystyki ruchu drogowego. W ich suchych, bezmiętnych liczbach zawarte są ludzkie nieszczęścia, ból i jakże często... śmierć. Mając wyobraźnię można znaleźć tu przeżycia człowieka zamkniętego w metalowym pudle, pędzącym nieuchronnie ku tragicznemu przeznaczeniu, kiedy nie ma już nic innego do zrobienia, a przez głowę przelatują błyskawiczne myśli, które kończą huk i cisza — szczęśliwa, jeżeli wypełni ją odzyskiwana świadomość i powrót do świata żywych.

Nie wszyscy jednak mieli szczęście przeżyć własną śmierć i cieszyć się z tego, że metalowa pułapka nie zamknęła się na wieki. Szczęście opuściło w ubiegłym roku 3035 użytkowników dróg, którzy zginęli na miejscu w 37511 wypadkach na terenie kraju. Poszkodowanych było dużo więcej, bo 48141 osób. I tak oto, w czasie pokoju, wydłubnia się nam co roku jedna, wcale nie najmniejsza gmina.

Ślupskie ma swój udział w tej krajowej statystyce. Co roku przedstawiamy, na podstawie wyliczeń Wydziału Ruchu Drogowego WUSW, ocenę bezpieczeństwa ruchu na drogach województwa ślupskiego, mając nadzieję, że zainteresowani zastanowią się nad wynikającymi z niej wnioskami. Ubiegły rok przyniósł 298 wypadków na drogach, śmierć 66 osób i obrażenia 294. Na miejscu zginęło 39 osób. Czy z tych wielkości wynika? Wzrost o 3,1 proc. liczby wypadków i spadek liczby zabitych o 8,3 proc. oraz rannych o 7 proc. Zatem trochę więcej wypadków, ale mniej ludzkich tragedii. Osobiście sądzę, że to zmniejszenie jest wynikiem szczególnego zbiegu okoliczności. Piszę tak, by zaakcentować utrzymujące się na ślupskich drogach zagrożenie. Poprawa tego stanu rzeczy naprawdę nie zależy tylko od milicjantów w białych czapkach. Każdy z nas — jeżdżący i chodzący po tych drogach — mo-

że przyczynić się do zmiany sytuacji zarówno na gorsze, jak i na lepsze. Zastanówmy się nad tym, jak po wyjściu z domu wrócić do niego cało.

Pracownicy Wydziału Ruchu Drogowego zestawili stopień zagrożenia ruchu drogowego występujący w ostatnich dwunastu latach. Z zestawienia wynika, że przeciętnie co roku zdarzało się 341 wypadków, ginęły 63 osoby, a 394 odnosili rany. Ubiegły rok na tle owych przeciętnych też jest przeciętny. Mniej wypadków, mniej rannych, ale śmierć zebrała żniwo, stanowiące „normę” ślupskich dróg.

Przyczyny wypadków są tak banalne, powtarzające się od lat, że podając je narażam się na zarzut odkrywania prawd dawno znanych. Toteż podam tylko jeden, który co prawda zaliczał się zawsze do podstawowych, ale nie był najpoważniejszy. Chodzi o błędy osób pieszych i brak opieki nad dziećmi. Spowodowały one aż 33 proc. wszystkich wypadków, w których zginęło 16, a rany odniosło 86 osób. Nie przypadkiem więc wspominałem o szczęśliwym powrocie do domu, bowiem zwiększyła się niebezpieczność liczb tych, którym to się nie udało. Statystyka nie mówi dlaczego tak się dzieje. Przyczyn można się tylko domyślać. Żyjemy w nerwowych czasach, zaganiani, roztargnieni, niezdolni dla innych użytkowników dróg — a szczególnie poddawane prawie codziennie próbom, musi kiedyś zawiść...

Wśród zmotoryzowanych prym wiodą kierowcy samochodów osobowych. Spowodowali oni 95 wypadków, o 3 więcej niż w 1987 roku. Kierujący motocyklami, uważani tradycyjnie za najniebezpieczniejszych użytkowników dróg, są daleko w tyle i przyczynili się do 36 wypadków (o 5 więcej). Te dwie kategorie kierowców stanowią takie zagrożenie, jak wszystkie pozostałe razem wzięte.

Nadmierna prędkość, nieprawidłowe manewry wyprzedzania, wyprzedzanie i omijanie, nie ustąpienie pierwszeństwa przejazdu — to ich grzechy główne, znane od dawna i od dawna sprawiające największe kłopoty.

Nie w każdym roku sezon letni pociąga za sobą zwiększoną liczbę wypadków drogowych. Ubiegły był jednak takim. Łącznie, w czerwcu, lipcu i sierpniu wydarzyło się prawie 38 proc. wypadków. To bardzo dużo i nie wykluczone, że wiąże się z nasilonym ruchem drogowym. Proszę nie myśleć, że to przybysze rozbijają tutaj swoje pojazdy. Nic podobnego — ta grupa kierowców, na obcym terenie jeździ ostrożniej. Wypadki powodują miejscowi! Nasze drogi, szczególnie lokalne, nie są przystosowane do takiego ruchu jak w sezonie i to są chyba główne przyczyny tego zjawiska w tym czasie. Jako ciekawostkę podaję, że najniebezpieczniejszymi dniami są soboty, niedziele i piątki, oraz godziny pomiędzy 10 a 22.

Wreszcie problem pijanstwa. Ilu jest pijanych użytkowników dróg — pieszych i zmotoryzowanych — nikt nie wie. Z pewnością coraz więcej, skoro w 1988 roku funkcjonariusze ruchu drogowego ujawnili 2416 osób będących pod wpływem alkoholu (w 1987 r. — 2200). 1553 spośród nich siedziało za kierownicą jakiegoś pojazdu (w 1987 — 1452). Nie ma sensu komentowania tych wielkości. Każdy wie, że alkohol + kierownica = nieszczęście, ale mimo to pijanych na drogach ujawniają tylko milicjanci, inni wolą takich nie widzieć. Ta społeczna obojętność i brak jednolitego frontu potępienia nie sprzyja wyeliminowaniu nietrzeźwych z ruchu drogowego.

Mało kto jeździ bezbłędnie. Zależy to od wielu okoliczności. Mały swoje „dobre” i „złe” dni. Ujdzie, jeżeli w tych „złych” nie stwarzamy zagrożenia dla innych, ale wykroczenie jest wykrocze-

niem i jeżeli, mając pecha, trafimy na „drogówkę” — trzeba ponieść konsekwencje. Takich pechowców ukaranych mandatami było w ub. roku 30604 (można sobie obliczyć ilu dziennie). Wzbogacili oni kasy urzędów miast i gmin o 41 mln zł. Przed kolegium ds. wykroczeń stanęło 1816, a wobec 32455 zastosowano tzw. pouczenie. Nikt nie lubi być karany, ani pouczone — nie należy mieć o to pretensji do funkcjonariuszy ruchu drogowego, wszak błędy popełniamy sami.

Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jedno zjawisko, które pojawiło się w omawianym okresie. Wzrosła liczba wypadków autobusowych — z 2 w 1987 r. do 8. Zdaniem naczelnika Wydziału Ruchu Drogowego WUSW, pplk. Alfreda Ossowskiego, jedną z przyczyn mogą być opóźnienia autobusów PKS już na starcie, na co nikt specjalnie nie zwraca uwagi. Potem kierowcy nadrabiają czas zwiększaniem prędkości. Na zdjęciach dwa autobusy po wypadkach, które wydarzyły się 5 stycznia br. Być może ich kierowcy nadrabiali opóźnienie...

JAROSŁAW DUCHNOWICZ
Fot. JANUSZ KOPANIA —
RUSW Bytów

Dzięki uprzejmości Wydziału Ruchu Drogowego WUSW w Ślupsku przedstawiamy Czytelnikom tabelę, z której wynika, po jakim czasie od wypicia alkoholu można bezpiecznie prowadzić pojazd mechaniczny:

Ilość wypitego alkoholu	spirytus 95%	koniak 45%	wódka 40%	wódka gatunkowa 35%	likier 30%	wina deserowe 18%	wina wytrawne 13%	porter 6%	piwo pełne 4,5%
50 gram	6	2	2	2	2	1	1	1	1
100 gram	12	5	4	4	3	2	2	1	1
150 gram	17	7	6	6	5	5	2	1	1
200 gram	22	10	8	8	6	4	3	2	1
250 gram	28	12	10	9	8	5	4	2	1
300 gram	33	14	13	11	10	6	5	2	2
350 gram	38	16	15	13	12	7	6	2	2
400 gram	43	18	17	15	13	8	7	3	2
450 gram	50	20	19	16	14	9	7	3	2
500 gram	55	22	21	18	15	10	8	3	3
600 gram		25	23	20	18	12	10	4	3
750 gram		31	27	26	23	16	12	5	4
900 gram		37	32	30	26	18	14	6	5
1,0 litr		41	36	33	28	19	16	6	5
1,2 litra			40	38	34	24	19	8	6
1,5 litra						28	22	10	8
1,8 litra						31	25	12	10
2,25 litra						38	31	15	12
2,4 litra								16	13
3,0 litry								19	16
4,5 litra								25	22
6,0 litrów								35	30

Uwaga: Czas podano w godzinach — po ostatniej dawce alkoholu. Obliczono dla człowieka o wadze 70 kg. Jeżeli ważysz 60 kg, pomnóż wynik przez 1,2, jeżeli 80 kg przez 0,9, jeżeli 90 kg — przez 0,8, jeżeli 100 kg — przez 0,7.



Prosimy jednak nie traktować tej tabeli jako instruktażu dla kierowców, którzy lubią sobie popić. W zamierzeniu autorów jest to bowiem ostrzeżenie: co najmniej tyle a tyle czasu stracić, jeśli wypijesz, a potem będziesz musiał czekać na moment wytrzeźwienia — zanim zasiądziesz za kierownicą. Zadała tabela natomiast nie może oddać niebezpieczeństwa, jakim jest dla innych użytkowników dróg ktoś pijany (lub na kacu) za kierownicą. Na zakończenie przypominając więc wypada, że kierowca nie może liczyć na swoją odporność, jakiejś szczególnej właściwości organizmu pomagającej w szybkiej regeneracji po wypiciu alkoholu. To niebezpieczne i zawodne rachuby!

POCZTA REDAKCJI

„Nostalgia i marzeń czar”

Zarząd Banku Spółdzielczego w Potęgowie informuje o sposobie kredytowania i administrowania kredytem udzielonym Ob. Andrzejowi Jastrzębskiemu w Poganicach na modernizację młyna na zajazd turystyczny. Kredytu udzielono 2 lutego 1984 r. w oparciu o projekt techniczno-roboczy wraz z kosztorysem na restaurację rybną, który zakładał „prowadzenie działalności gastronomicznej do czasu całkowitego zakończenia rekonstrukcji obiektu na zajazd turystyczny”.

Ze względu na wzrost cen materiałów i usług w stosunku do kosztorysu, bank dwukrotnie udzielał dodatkowych kredytów tj.: w roku 1985 i 1987. Całkowite wykorzystanie kredytów nastąpiło 2 września 1987 r. Na wnioski kredytobiorcy, bank stosował kilkakrotnie prolongatę spłat rat i odsetek. I tak:

Data wpływu wniosku kredytobiorcy

Data decyzji Zarządu banku

1) 1986—10—15/1986—10—15. Prolongata spłaty odsetek na okres karencji z 1986—10—01 do 1988—04—01

2) 1987—05—04/1987—05—06. Prolongata spłaty raty kredytu pobranego 1984—02—02. Z 1987—04—01 do 1987—10—01

3) 1987—10—23/1987—10—26. Ponowna prolongata spłaty rat i odsetek przypadających do spłaty z 1987—10—01 do 1988—10—01

4) 1987—10—23/1987—10—26. Prolongata kolejnych rat i odsetek przypadających do spłaty z 1987—10—01 do 1988—10—01

5) 1987—10—23/1987—10—26. Prolongata spłaty rat i odsetek od dodatkowego kredytu do dnia 1989—10—01

We wszystkich działaniach banku, tak przy rozpatrywaniu wniosków

kredytowych jak i prolongatach w spłacie rat i odsetek, zasadniczym warunkiem było podjęcie działalności gastronomicznej w możliwie najkrótszym terminie, na co kredytobiorca składał pisemne deklaracje. Terminy te minęły w latach 1986 i 1987. 11 maja 1988 r. kredytobiorca oświadczył w banku (notatka służbowa): „nie uruchomię w najbliższym czasie działalności gastronomicznej mimo zakończenia adaptacji obiektu na restaurację”.

Wobec takiego oświadczenia zarząd banku określił datę 20 czerwca 1988 r. jako ostateczny termin uruchomienia działalności gastronomicznej, określając również sankcje dla kredytobiorcy, jakie zastosuje w przypadku dalszej zwłoki. Ponieważ w określonym terminie nie uruchomiono tej działalności, nie podając również konkretnych i wiarygodnych powodów, bank przystąpił do działań proceduralnych, tzn. wypowiedział kredyt a następnie postawił kredyt w stan natychmiastowej wymagalności i złożył wniosek do komornika Sądu Rejonowego o egzekucję wraz z odsetkami z nieruchomości.

W tej sytuacji od 4 sierpnia 1988 r. straciły ważność wcześniejsze ustalenia co do terminu i wysokości spłaty kolejnych rat i odsetek, nastąpiła również zmiana oprocentowania kredytu na wyższe. Te działania banku były zgodne z umową kredytową (skryptyem dłużnym), którą kredytobiorca wraz z poręczycielem znali i podpisali. Wobec tego wpłata przez kredytobiorcę kwoty 4.000.000 zł w październiku ub. roku została zgodnie z warunkami umowy zaliczona na spłatę odsetek.

W wyniku informacji jaką przekazał kredytobiorca bankowi w listopadzie 1988, że zamierza utworzyć spółkę lub sprzedać obiekt kredytowany (po uprzednim zaspokojeniu żądań banku) nie chcąc przeszkadzać Ob. Andrzejowi Jastrzębskiemu w tych działaniach, bank wstrzymał u komornika rejonowego egzekucję z nieruchomości do 31 grudnia 1988 r.

Jednak do chwili obecnej sytuacja w zakresie własności obiektu i jego działalności nie uległa zmianie. Stan ten spowodował zamrożenie i tak bardzo szczyplych środków kredytowych banku, ponieważ kredyt został wykorzystany bez efektów usługowych.

Pragnę dodać, że sprawę kredytowania obiektu Ob. A. Jastrzębskiego badał kilkakrotnie OW BGŻ w Ślupsku. W grudniu 1988 r. sprawę kredytowania obiektu, na wniosek Ob. A. Jastrzębskiego, badała Centrala BGŻ w Warszawie. Wszystkie badania wykazały, że postępowanie BS w Potęgowie jest prawidłowe.

Przedstawiając skróto najważniejsze działania banku w zakresie udzielania i windykacji kredytu Ob. A. Jastrzębskiemu, należy stwierdzić, że działania banku są nie tylko zgodne z przepisami, ale również życiowe i racjonalne.

Zarząd Banku Spółdzielczego
(podpisy nieczytelne)

Do Archangielska bliżej

W Ślupsku gościła sportowa delegacja obwodu archangielskiego z dyrektorem tamtejszego Wydziału Sportu i Kultury Fizycznej Lwem Tiukinem. Radzieccy goście podpisali wraz z Henrykiem Grądzkim dyrektorem Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki UW w Ślupsku umowę o współpracy oraz protokół uściślający wymianę ekip sportowych w bieżącym roku. Jak na pierwszy rok kontaktów, zaplanowano bardzo bogaty kalendarz wymiany.

Już w lutym do miasta nad Dwiną wyruszą młodzi ślupscy badmintoniści, a ich goście wystartują u nas we wrześniu, w turnieju Ślupskich Dni „Sportu”. Podobny kontakt uzgodniono dla bokserów rocznika 1970 i młodszych. Spotkanie w Archangielsku odbędzie się w czerwcu, w Ślupsku we wrześniu. Niewątpliwie najważniejszą rangę będą miały starty judoczek obu miast, należących do czołówki swych krajów. Gryfiki wystąpią w czerwcu w pucharze ga-

zety „Północny Kómsomolec”. Rosjanki zobaczymy w międzynarodowym turnieju w ramach SD„S”.

Dla koszykarzy — kadetów przewidziano 5-dniowe pobyty ekip w obu miastach i po jednym meczu w lipcu i sierpniu. W maju Archangielsk odwiedzą młodzi zapaśnicy stylu klasycznego, rewizyta nastąpi w czasie SD„S”. Swoją rolę w wymiarze będą też mieli szachiści — juniorzy.

Najbardziej rozbudowany program wymiany mają lekkoatleci. Ślupszczanie w czerwcu wystąpią w Maratonie Gandwika, potem w zawodach obwodowych w Archangielsku. Zawodników radzieckich należy oczekiwać w bytowskim Biegu Gochów i mityngu SD„S” we wrześniu. W połowie lutego oczekiwana jest w Ślupsku delegacja archangielskich działaczy turystyki dla uzgodnienia wymiany w tej dziedzinie.

(z)

JAN BENON